Nr. 33. Warszawa, dnia 16 (4) Sierpnia 1890 r. Rok X.

# PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.



## POLITYKA.

### DOKOŃCZENIE PODZIAŁU.

A mnie? A mnie nic się nie dostanie z tego łupu? — zawołała Francya po układzie anglo-niemieckim, który John Bullowi pozwolił wydrzeć kawał mięsa z wnętrza Afryki. Naturalnie tej wyciągniętej ręki niepodobna było odtrącić z niczem, boć zawsze jest to ręka, za którą stoi przeszło milion wojska. Z damą takiej siły trzeba być grzecznym i uwzględnić jej apetyt, zwłaszcza że z powalonego zwierza dzikiego nie wszystko zjedzono i jeszcze smaczne kąski pozostały. Więc dano jej wyłączny protektorat nad Madagaskarem i rozszerzenie „sfery interesów“ w przyległościach Algieryi i Nilu.

Co do sławnej wyspy, to ona już od 200 lat przeszło pozostaje pod opieką i wpływem Francyi, która istotnie przyjęła największy udział w kolonizowaniu jej, a nawet zroszeniu krwią swoją. Mianowicie gdy w r. 1670 komendant załogi francuskiej, la Haye, uwikłał się w spór z krajowcami, poniósł ciężką porażkę. W 98 lat później ponowiono usiłowania kolonizacyjne i wysłano agenta, Demodave'a, z bardzo łagodnemi instrukcyami. Przedsięwzięcie to byłoby się powiodło, gdyby—jak twierdzi prof. R. Hartmann (*Madagaskar*, 1886, str. 50)—„hr. M. Beniowski, nie zjednał sobie rządu francuskiego, nie pokrzyżował zamiarów Demodave'a i za pomocą olbrzymiego szwindlu oraz zmarnowania znacznych sum francuskich nie pokusił się o samodzielne zawładnięcie losami Madagaskaru.“ Kiedy we Francyi przeniknięto jego plan ogłoszenia się *mpanjakubem*, tj. niezależnym królem wyspy, kazano komendantowi Souillacowi wystąpić przeciw niemu zbrojnie: w bitwie dnia 4 czerwca 1786 r. poległ Beniowski, ugodzony kulą. Sam on w III i IV tomie swych pamiętników (*Historya podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego M. A. hr. Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego*, Warszawa, 1806) szczegółowo i odmiennie opowiada dzieje swojego przybycia i opanowania Madagaskaru; wydawca zaś tego dzieła, opisując na podstawie sprawozdań bohaterską jego śmierć, broni go od zarzutów. Był to — według niego — „mąż nieustraszonego męztwa, zahartowany na wszystkie przygody i umiejący ze stałością prawie bezprzykładną walczyć z najstraszniemi niebezpieczeństwy. Do tylu tak rzadkich przymiotów łączył on doskonałą serca ludzkiego znajomość... Zdania o charakterze tego wielkiego człowieka są różne, zarzuty zaś przeciw niemu trudno powiedzieć, jak srogą napojone złością. Gdyby im przyszło ślepą dać wiarę, Beniowski byłby tyranem krwi niesytym, a rozbójnikiem bez najmniejszych prawideł poczciwości i cnoty. Przecież widzieliśmy, że w ciągu całego jego życia nie brakło mu na żarliwych czcicielach i na przyjaciołach determinowanych na wszystko, a kto ich posiada, musi mieć duszę piękniejszą, aniżeli oszczerstwo onę wystawia.“

Godząc te sprzeczności, rzec można, że Beniowski był naturą wichrowatą, niosącą w sobie mieszaninę pierwiastków złych i dobrych, bohaterstwa i niecnoty... W każdym razie zapisał on w dziejach Madagaskaru kartę ważną. Obwołanie obcego przybysza przez ludność wyspy najwyższym władcą, pełne zapału mowy i przysięgi wodzów — świadczą, że Beniowski zdołał pozyskać sobie sympatyę krajowców. Warto przypomnieć sobie te fakty, warto nawet odesłać ciekawych do szczegółowego obrazu tych dziwnych zdarzeń, bo zaledwie nielicznym czytelnikom wiadomo, że z ową dziś przehandlowaną wyspą łączy się bardzo ściśle postać legendowego i w naszej literaturze błądzącego bohatera.

Od tej epoki stosunki Francyi do Madagaskaru snują się pasmem częstych starć i ciągłych postępów w opanowywaniu go przez nią i przez inne państwa: Holandyę, Portugalię, Anglię, a w ostatnich czasach i przez Stany Zjednoczone. Obecnie dzięki układowi z Anglią, Francya pozostaje główną władczynią wyspy. Panuje tam jeszcze niby niezależnie królowa, ale jest to, a jeszcze bardziej będzie panowanie małpy w klatce zwierzyńca. Ranowalona może nawet ścinać głowy swym poddanym i dygnitarzom ubranym w znoszone uniformy dawnych generałów francuskich, dumni *howowie* mogą zachowywać wszystkie złudzenia i pozory niepodległej arystokracyi krajowej, ale te wszystkie miny i ruchy będą miały znaczenie widoków operetkowych. Madagaskar tkwi już w kieszeni Francyi i nigdy z niej nie wyjdzie.

Wobec daleko znaczniejszych, a zwłaszcza świeżych nabytków Anglii w Afryce wschodniej i środkowej, łup francuski wydaje się prasie francuskiej zbyt skromnym, zwłaszcza że on już faktycznie należy do niej oddawna, a teraz tylko został prawnie uznany ze strony współzawodniczki. Ale nie należy tych grymasów przyjmować z naiwną wiarą — mają one bowiem na celu uspokojenie cudzej zazdrości. Madagaskar nie jest wyspą bogatą, jako wszakże pozycya morska dla handlu i wdzierania się we wnętrze Afryki, posiada wartość nieocenioną. Kto wie, ile tam jeszcze urwać można, a z takiego stanowiska szarpać łatwo. Wreszcie dołączono do niego rozmaite rozszerzenia „sfery interesów“ na lądzie stałym. Wszystko to zaś w sumie stanowi piękny spadek po czarnym człowieku, odziedziczony za jego życia.

Umowa anglo-niemiecka zapewnia, iż zawarto ją dla *ostatecznego* usunięcia powodów do nieporozumień między dwoma państwami europejskiemi w Afryce. My sądzimy natomiast, że podział Afryki już się skończył, ale kłótnie między jej opiekunami i posiadaczami dopiero kiedyś się zaczną, mianowicie wtedy, kiedy stopnie geograficzne i okolice jezior nie będą już dostatecznymi znakami rozgraniczenia posiadłości, a „sfery interesów“ zaczną wymagać linij ściślejszych.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Strzały, potem mowy, potem znowu strzały, potem znowu mowy itd. — tak się odbyła ceremonia oddania i przyjęcia Helgolandu pod władztwo niemieckie. Zwłaszcza prochu nie żałowano, a przerażone hukiem armat mewy ani przypuszczały, że to w ten sposób ludzie sprzedają sobie kawałek skały. Dziś już helgolandczycy są obywatelami niemieckimi, którymi w imieniu cesarza rządzić będzie kanclerz państwa, a w imieniu kanclerza — gubernator wyspy.

Drut telefoniczny, łączący Friedrichsruh z Hamburgiem, przeciągnięty został do Monachium, do redakcyi *Allg. Ztng*, która zaczęła przemawiać stylem Bismarkowskim. Według niej, Wilhelm II, zamieniając Zanzibar na Helgoland, dał babce brylant prawdziwy, a dostał fałszywy. Bez osłonek gazeta twierdzi, że taką nierówną zamianę można wytłomaczyć sobie względami i uczuciami rodzinnemi, to znaczy, że cesarz niemiecki skrzywdził swe państwo na korzyść Anglii dla dogodzenia babce. W tym pocisku znać rękę kanoniera z Friedrichsruh, który jeżeli strzelał, to zawsze bombami takiego kalibru, a nigdy nie wahał się mierzyć w osoby najwyżej postawione i ranić ich najcięższymi zarzutami.

Dziennik berliński *Post* puścił znowu w świat tajemniczą pogłoskę, że odwiedziny Wilhelma II u babki nie były pozbawione znaczenia politycznego i że ich owocem był inny układ, który nie mniej wszystkich zadziwi od poprzedniego. Czy to jest zwykła kaczka, jedna z tych, które prasa zwykle o tej porze wysiaduje, czy też echo prawdy—naturalnie rozstrzygnąć niepodobna.

Tymczasem cesarz niemiecki jeździ bez przerwy i zmęczenia. W nocy z 17 na 18 przybędzie morzem do Rewla, a nazajutrz uda się do Narwy. W orszaku jego znajdować się będą: ks. Henryk pruski, ks. Saskomeklemburski, kanclerz Caprivi, marszałek dworu hr. Eulenburg i kilku generałów. Po powrocie z Rosyi ma Wilhelm II jechać do Austryi, Włoch, a podobno i Hiszpanii. Już dziś należy mu się przydomek monarchy podróżującego.

Pasterz rozpierzchłej trzody, Rieger, odbył pielgrzymkę do Wiednia, gdzie usiłował przekonać hr. Taaffego o potrzebie nadania językowi czeskiemu charakteru urzędowego; ale przedsięwzięcie to nie udało mu się. Wrócił więc do kraju zniechęcony i rozgoryczony, a umowa czesko-niemiecka straciła w tem jego niepowodzeniu ostatnią deskę ratunku. Sprawa ta wszakże jest takim wrzodem w łonie Austryi, iż znowu odezwała się dawno milcząca wieść, że cesarz Franciszek Józef ma zamiar ustąpić z tronu.

Wbrew przewidywaniom stosunki austryacko-serbskie nie poprawiły się, a jątrzeni stratami materyalnemi skutkiem zamknięcia granicy serbowie roznamiętniają się coraz bardziej.

Więc ks. Ferdynand jedzie już do Bułgaryi, odprowadzony przez matkę do Węgier. O tem wszakże, ażeby żebraniną o pomoc u dworów europejskich stanowisko swoje wzmocnił — nic nie słychać.

Mianowanie biskupów bułgarskich w Macedonii oburzyło Grecyę, która obrzuciła Portę pogróżkami i pretensyami. Oprócz tego kłopotu, skołatana Turcya dźwiga brzemię innych, między którymi nienajlżejszy spadł na nią ze strony znieważonego patryarchy ormiańskiego.

Nareszcie w Argentynie z rewolucyjnego chaosu wyszedł rząd nowy pod prezydencyą Moralesa Bermudeza. Celman bowiem musiał ustąpić.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### LISTY KRAKOWSKIE.

Drugi zjazd chirurgów polskich. — Wbrew przepowiedniom. — Wykłady dr. Jasińskiego, Bogdanika i Becka. — Owoc pracy — Popis w zakładzie p. Rapaporta. — Z teatru. — Otwarcie zakładu dla nieuleczalnych.

Gdy w zeszłym roku zamykano obrady pierwszego zjazdu chirurgów polskich*) zapowiedzią powtórnego za dwanaście miesięcy, odzywały się tu i owdzie głosy, wątpiące o ochocie, wytrwałości naszych chirurgów i obfitości materyału naukowego. Obecny zjazd zgotował miłe rozczarowanie, uczestnicy stawili się w liczbie pokaźnej, a co do materyału, to zdawało się, że na wyczerpanie go trzy dni nie wystarczą.

Prace, wygłoszone na zjeździe, zbyt są specyalne by się niemi tu zajmować można; jedynie trzy z nich mają ogólniejsze znaczenie. I tak, spostrzeżenia dr. Jasińskiego co do „pyoktaniny“ ujęły niemało sławy zachwalonemu środkowi przeciwgnilnemu. Prelegent, idąc za Stillingiem, który miał osiągnąć znakomite wyniki po pyoktaninie, używał sam tego środka, jednak we wszystkich wypadkach z wynikiem ujemnym. Według Stillinga, pyoktanina jest świetnym antyseptykiem, bo posiada trzy główne stawiane wymagania: bywa łatwo pochłanianą przez drobnoustroje, nie tworzy strupa i ma świetne własności refuzyjne; zdawało się zatem, że za jednym zamachem wyruguje kwas karbolowy, sublimat i jodoform. Wobec rozgłosu, tembardziej potrzeba było badań ścisłych i doświadczeń rzetelnych; takie też podjął dr. Jasiński; wszystkie one wykazały przesadę w zachwalaniu, a jedno z nich wreszcie dowiodło, że owa pyoktanina nie tylko nie jest dobrym środkiem przeciwgnilnym, ale często przygotowywa nawet grunt dla bakteryi. Gdy bowiem wstawił dwa naczynia, wypełnione pyoktaniną, w miejscu, gdzie mógł się spodziewać pleśni, otrzymywał ją rzeczywiście w naczyniu po krótkim czasie, a pleśń ta, przeszczepiona na pożywki, dawała bardzo bujne kultury pleśniowe.

Wykład dr. Bogdanika p. t. „Broń palna Manlicherowska a przyszła wojna“ miał równie ogólniejsze znaczenie; prelegował jako prymaryjusz szpitala powszechnego w Białej, opatrywał wszystkich rannych i sam też robił sekcye ofiar walki bratobójczej. Tutaj pierwszy raz broń ta położyła większą ilość ofiar, stąd też i spostrzeżenia przewyższają domysły doświadczeń dokonywanych dotąd na zwłokach i zwierzętach. Bruns i Habart, popierani przez rządy, austryacki i niemiecki, podjęli szereg doświadczeń z nowym systemem broni; spodziewano się po niej, że wobec bardzo małej objętości pocisku i ogromnej chyżości, i wobec tego, że powierzchnia jest całkiem gładką, rany zadane bardzo będą małemi, że ani w częściach miękkich, narządach miąższowych, ani w kościach, nie wywoła takich zniszczeń, jak kule, użyte w poprzednich wojnach, że zatem w przyszłości więcej będzie rannych, ale za to śmiertelność się zmniejszy i mniej pozostanie kalek. Tem cenniejszemi są spostrzeżenia dr. Bogdanika, gdy obaj wzmiankowani chirurgowie doszli do wyników wręcz sobie przeciwnych. Szczegółowo opracowane historye chorób i protokoły sekcyjne, jak równie pociski i ich odłamki, obok preparatów anatomicznych z poległych, dopełniając obrazu, umożliwiły stanowczą ocenę tej broni, już w przeniesieniu jej na szerokie pole

*) Jakkolwiek inny nasz korespondent zdał sprawę z obrad tego zjazdu, pomieszczamy drugą relacyę, zwłaszcza, że ona jest dopełnieniem poprzedniej. *Red.*

# Czarodziej z Cucugnanu

(Bajka prowansalska).

Poczciwy doktór posiadał rozległą wiedzę, dużo bowiem się uczył, a pomimo to w Cucugnanie, gdzie od dwu lat osiadł, nie miano żadnego zaufania do jego sztuki. Zawsze spotykano go z książką w ręku. Wtedy kukuniańczycy mówili:

— Nasz lekarz nic nie umie, absolutnie nic. Od rana do wieczora i od wieczora do rana czyta. Jeżeli czyta, to dowód, że nic nie umie; jeżeli zaś nic nie umie, jest głupcem.

Tak filozofowali kukuniańczycy i nie mieli do niego żadnej ufności.

Lekarz bez chorych podobny jest do lampy bez oleju. A jednakże musi on zarobić na nędzne istnienie. Ten biedak nie zarobił nawet na wodę, którą pił.

Czas był, ażeby rzeczy się zmieniły. Pas doktora, który on już zapinał na ostatnią dziurkę, był dla niego znowu za obszerny. Im bardziej zaś brzuch mu burczał, tem gorliwiej rozmyślał on nad sposobem wydobycia się z fatalnego położenia.

Pewnego dnia ogłosił w całym Cucugnanie, że wiadomości jego są tak wielkie, tak potężne, iż jest on w stanie nietylko leczyć chorych wszelkiego rodzaju, co właściwie stanowi zabawkę dziecinną, ale nawet wskrzeszać umarłych i to zarówno świeżo zmarłych, jako też dawno pochowanych według wszelkich reguł sztuki grabarskiej.

— Obudzę ich — rzekł z pełnem przeświadczeniem — w jasny dzień na cmentarzu, wobec wszystkich.

Nikt mu nie wierzył, niedowiarki jednak mówili sobie:

— Nic nie stracimy, jeśli go wystawimy na próbę. Trzeba go zobaczyć przy robocie. Przecież wiele czytał! A ileż to wynalazków robi się codziennie. Pójdźmy! Dokona cudu, damy mu poklask; jeżeli nie, obrzucimy go kamieniami; wtedy niech swojej sztuki wypróbuje na sobie samym.

Postanowiono tedy w niedzielę o południu zebrać się na cmentarzu, gdzie doktór wskrzesi jednego, lub — jeśli tego będzie potrzeba — dwóch umarłych. Niektóre stare panny mówiły nawet o dziewięciu lub dziesięciu młodych mężczyznach.

Jeszcze przed oznaczoną godziną cmentarz był pełny, jak kościół podczas pogodnej Wielkanocy, a gdy wybiła dwunasta, doktór, ubrany w czarną togę, przecisnął się przez tłum.

Stanąwszy na podwyższeniu, pozdrowił obecnych, odkaszlnął, odchrząknął głośno i rzekł:

— Moi przyjaciele, obiecałem wam wskrzesić umarłego i dotrzymałem słowa. Podnoszę rękę — proszę o spokój. Z równą łatwością mogę wskrzesić Jakóba, Jana, Nanonę, Babeau, Klaudyusza lub Szymona. Czy chcecie, ażeby Szymon zmartwychwstał? Jak on się nazywał? Szymon Cabanié, ten, który przed rokiem umarł na złośliwy katar?

— Przepraszam pana czarodzieja — zawołała Katarzyna, młoda wdowa po Szymonie. Był to niewątpliwie dzielny człowiek, który mnie uszczęśliwił i którego opłakiwać będę, dopóki Bóg pozostawi mi oczy w głowie. Ale nie wskrzeszaj go pan, gdyż przy końcu tego miesiąca zdejmuję żałobę, bo wysoki Pascal chce mnie poślubić. Zapowiedzie już wyszły i podarki jako narzeczona już dostałam. Gdyby biedny Szymon to zobaczył, umarłby ze zgryzoty.

— Strzeż się, panie czarodzieju — zawołał Jakób Lamell, podnosząc z groźbą ka-

wojny. Okazało się zatem, że broń Manlicherowska istotnie zbliża się najbardziej do pojęcia „broni ludzkiej“, bo albo zabija na miejscu, albo rani tak, że nie miażdży tkanek, ani druzgocze kości, wskutek czego rana, dostępna dla chirurga, daje rękojmię szybkiego gojenia. Kula, rozgrzana do 255 stopni, nie tylko sama zakazić nie może, ale owszem potrafi zniszczyć wszelkie zarazki.

Nie potrzebuję dodawać, jak ożywiona dyskusya toczyła się nad przedmiotem.

Trzecią wreszcie kwestyą, zajmującą szersze koła, był wykład dr. Becka „Oznaczanie lokalizacyi czynności kory mózgowej, na podstawie zjawisk elektrycznych w mózgu“. Prelegent, asystent przy katedrze fizyologii, podaje za przyczynę, dla której w tej sprawie głos zabiera, chęć zyskania pomocy chirurgów, gdyż zdarza się im często sposobność odstawiania kory mózgowej i możność robienia na niej doświadczeń. Jeżeli za pomocą dobrego przewodnika elektryczności połączymy przekrój poprzeczny nerwu lub mięśnia z powierzchnią nieuszkodzoną, to w łączniku za pomocą odpowiednich przyrządów można wykazać istnienie prądu, który nosi nazwę spoczynkowego, w odróżnieniu od prądu czynnościowego, który powstaje, ilekroć nerw lub mięsień wprawimy w stan czynny. Przyczyną powstawania prądu spoczynkowego jest pojawianie się napięcia elektroujemnego w miejscu uszkodzenia nerwu lub mięśnia, a dla prądu czynnościowego punktem wyjścia jest napięcie elektroujemne w miejscu, gdzie powstaje stan czynny. Wychodząc więc ze stanowiska, że wszędzie tam, gdzie powstaje stan czynny w mięśniu, nerwie, gruczole, pojawia się napięcie elektroujemne, dr. Beck starał się przekonać, czy i w układzie nerwowym środkowym powstaje prąd spoczynkowy i czynnościowy, i czy na podstawie oznaczenia kierunku tego prądu będzie można wykazać, które ośrodki przeszły w stan czynny.

Doświadczenia na zwierzętach wykazały istotnie, że przy drażnieniu oka światłem, zjawia się napięcie elektroujemne w płacie potylicowym kory mózgowej, przy drażnieniu ucha, w płacie skroniowym itd. Doświadczenie udało się bardzo pięknie, wychylenia igły w galwanometrze pokazywano za pomocą projekcyi na ekranie.

Zjazd wyczerpał wszystkie prace, jakie były w programie, a każda z nich dała powód do ożywionej wymiany zdań, trafnych spostrzeżeń z praktyki, krótko mówiąc, wydobyto prawdziwy pożytek; przybyła niejedna wiadomość i rozjaśniły się wątpliwości; obok teoretycznej nauki zyskało i dobro chorych, a węzeł, łączący polskich chirurgów, silniej się zacisnął. W przyszłym roku zamiast zjazdu, pracować będzie tylko sekcya chirurgiczna w ogólnym zjeździe lekarzy i przyrodników.

W zakładzie dr. Rapaporta odbył się doroczny egzamin, z którego można było powziąć wyobrażenie o kierunku instytucyi, mającej wykształcić chłopców żydowskich na ślusarzy i stolarzy. Dotąd tylko dwa te rękodzieła uprawia zakład; 9 chłopców nabywa znajomości stolarstwa, 10 ślusarstwa tutaj uczą ich języka polskiego, niemieckiego, historyi, geografii, fizyki i matematyki. Popisywali się z tego i podobno ku ogólnemu zadowoleniu. Na zakończenie, jeden z uczniów podziękował twórcom zakładu, „za to, że mogą tu kształcić się na pożytecznych i pracowitych członków społeczeństwa na pożytek kraju, który ich przyjął niegdyś jako tułaczów.“

Na tułactwo skazał przedsiębiorca tutejszego teatru p. Wernera — tak, ni ztąd ni zowąd, a zapytany o przyczynę tej nagłej dymisyi, odpowiedział, „że musi zmniejszyć personel.“ P. Werner przeszło 10 lat występuje na scenie krakowskiej a podobno od 5 lat jest jej reżyserem; p. W. ma kontrakt, w którym jednak obwarowany jest p. Glücksohn. Nagła dymisya, bez przyczyny—bo że przedsiębiorca *chce* zmniejszyć personel, to jeszcze nie racya—w okresie połowy gaży i w czasie, kiedy inne sceny pozawierały już umowy z aktorami, jest dopiskiem do uchwał ankiety teatralnej we Lwowie.

Kierownikiem artystycznym teatru ma być p. Pawlikowski, obeznany z pracą, którą podejmuje; ztąd żywimy nadzieję, że może choć w części przyczyni się do uleczenia tej choroby.

Tymczasem zajdźmy do tych, co są już nie do uleczenia: otwarto dla nich w tych dniach wspaniały zakład fundacyi Helclów. Nie posiadam dotąd danych wyczerpujących; wiem tylko, że grunt pod budowę kosztował 80,000 złr. a budowa i urządzenie 560 tysięcy złr. Ładne cyfry, a jeszcze nie wszystkie; przy urządzeniu wzięto na uwagę nietylko potrzebę, ale nawet zbytek. Pojęcie rozmiarów zakładu dają liczby: powierzchnia zabudowana pod budynkiem głównym wynosi około 3,600, kaplicy 500, budynków gospodarskich 600, razem 4,700 metrów kwadratowych. Zakładem rządzą siostry miłosierdzia. Ile kalek znajdzie tam pomieszczenie, o tem w przyszłym liście.

*Mor.*

## LISTY PETERSBURSKIE.

*7 sierpnia.*

Skąd się wzięli górale. — Historya Chrobacyi. — Helgoland. — Ubezpieczenie robotników. — Jeszcze o Bismarku.

Któż nie wie, że górale galicyjscy, szukając zarobku, co rok, w czasie żniw przybywają do Królestwa. Wiadomo też, że dzięki wielkiej ilości magnatów, księży i wojska — włościaninowi w Galicyi coraz trudniej żyć na świecie. Lecz zapewne nikt się nie domyśla, skąd ci górale przychodzą. Oto korespondent *Moskowskich Wiedomosti*, opisując w jaskrawych barwach nędzę włościan, szukających w Królestwie chleba, powiada: taki to ucisk cierpi biedny lud ruski pod rządem austryacko-polskim. Zresztą nie dziw, że ta gazeta pisze coś podobnego; lecz dziwniejsza, że *Dzień*, który w gronie swych współpracowników ma znawcę ludów słowiańskich — p. Filipowa, przedrukował ową korespondencyę bez żadnego zastrzeżenia. Toć zaledwo w przeszłym roku p. F. pisał z Galicyi, że rusini i demokraci polscy łączą się przeciwko arystokratom, którzy na barki ludu zbyt wielki ciężar kładą — i nagle byle wyłajać kogoś nazwano górali ruskim ludem, a polaków wszystkich bez wyłątku ciemiężycielami. Chyba to wstyd jest przedrukowywać z zamrużonemi oczyma sensacyjne głupstwa; nie badając sprężyn, łająć ogólnikowo.

Niedawno wyszła z druku *Historya narodu chorwackiego*, napisana przez p. Filipowa. Autor przychodzi do wniosku, że machina państwa Hohenzolernów traci szruby, że wkrótce się rozsypie, że na jej drzazgach, krom części Niemiec i węgrów, ujrzymy cztery dzielnice słowiańskie: chorwacką, czeską, polsko-galicyjską i rusińską.

Można powiedzieć: — poco te zapędy! Jakie tam dzielnice?! W razie potrzeby Austrya za polewkę z soczewicy rozda niektóre cząstki silniejszym i koniec na tem. Niech dzisiaj ktoś ofiaruje jej np. Bułgaryę za Galicyę — a z pewnością jutro uskuteczni się zamiana — wstawiane zęby nie bolą. Zwłaszcza, że i czasy się zmieniają: dawniej oddawano kraje z musu, a dziś czyni się to dla interesu. Kupiecka Anglia nie zapytała mieszkańców Helgolandu, czy chcą należeć do Niemiec? Dobrowolnie odcięła sobie zdrowy palec, byle zyskać możność odciąć negrom rękę. Zmiarkowała, iż pięć palców więcej znaczy, niż jeden. Wkrótce za jakiś

---

mień. Nanona była moją żoną. Przeżyliśmy z sobą dziesięć lat — dla mnie dziesięć lat czyśca — wie o tem cały Cucugnan. Niech ona dla mojego i swojego spokoju pozostanie tu, gdzie leży. Była gryzącą jak pieprz hiszpański, upartą jak muł, a przytem próżną i brudną; była marnotrawną i miała zły język, prawdziwy język węża, tak, że Najświętszą Pannę i Świętego Józefa mogłaby doprowadzić do awantury. I — ale nie mogę powiedzieć wszystkiego.

— Ależ mój przyjacielu, możnaby przecie...

— Ostrzegam cię, panie czarodzieju — grzmiał Jakób. Zmarła żona — nowy kapelusz! Ponieważ Nanona pozostawiła mi troje dzieci, które, nawiasem mówiąc, wcale do mnie nie są podobne, ożeniłem się powtórnie. Jak widzisz pan więc, twój trud byłby daremnym.

— Ach, rozumiem—uspakajał go doktór. Jest to jasnem, że po przebyciu czyśca musisz jeszcze przejść piekło. Jedna kobieta to więcej, niż dosyć.

Gładząc długą brodę, mrugnął na Jakóba znacząco i znowu podniósł głos:

— Jak uważacie, gdybym wskrzesił majstra Piotra? Ktoś bowiem musi zmartwychwstać.

— Myślisz pan Piotra z Wielkich Miar?— zapytał Feliks Piąstek.

— Tak, był to dzielny człowiek.

— Bardzo dzielny człowiek, niech mu Bóg da wieczny odpoczynek. Był to święty człowiek, ten mój dobry ojciec. Ale nie wskrzeszaj go, bo gdyby zmartwychwstał, serce pękłoby mu z boleści na widok kłótni panującej między rodzeństwem, a on lubił spokój ponad wszystko. Po długich zwadach, bójkach i nieskończonym procesie podzieliliśmy się dziedzictwem, złożonem z kilku kawałków ziemi. Każde z nas ma kupę dzieci i musi myśleć o wyżywieniu ich; każde usiłuje na swój młyn sprowadzić wodę.

— Nie należy go więc wskrzeszać?

— O, nie, nie — rzekł Piąstek z pośpiechem. Gdyby zmartwychwstał, musielibyśmy biednemu starcowi płacić pensyę miesięczną — byłoby to zupełnie sprawiedliwem. Lata wszakże są złe, panie czarodzieju. Wiecie, że jedwabniki nic nie robią, albo zdychają. Krzewy winne chore, zboża sprzedać nie można. Oliwki zrobaczały, dziesczów niema.

— W takim razie nie ruszajmy biednego Piotra. Ponieważ jednakże nie przyszedłem tu dla nawlóczenia paciorek, a wy dla przypatrywania się tej mojej robocie, muszę wskrzesić — ale kogo? Powiedzcie sami — kogo?

— Moją Gutonę, dajcie mi moją Gutonę! — prosiła ze łzami stara kobieta.

Czarodziej udał, że nic nie słyszy i spuścił zamyślony oczy. Już powstał szmer między obecnymi, gdy jakaś dziewczyna zawołała żywo:

— Zostaw ją w spokoju, panie doktorze. Piękna ta dziewica dobrze uczyniła, umierając. Na łożu śmiertelnem zwierzyła mi się ze wszystkiego — wtedy ubraliśmy ją w sukienkę ślubną i wianek mirtowy. Moja biedna przyjaciołka wyglądała jak oblubienica. Pozostań w ziemi moja święta, bo ten, którego kochałaś, połączył się z inną.

Poczciwy doktór otarł łzę z oczu i rzekł z namaszczeniem:

— Wieczny odpoczynek!

Oczy obecnych również zwilgotniały.

— Wieczny odpoczynek! — powtórzyli wszyscy.

Po krótkiej przerwie czarodziej zaczął:

— Ostatecznie nudzi mnie to bezczynne przepędzanie czasu. Znam jednego, który nie pozostawił ani żony, ani dziecka, ani siostry lub brata, tylko wzór swoich cnót

Sudan i Saharę odda Irlandyę, a wreszcie za całą Afrykę — i Brytanię. Interes czysty: Afryka większa i cieplejsza od Anglii. Przywiązanie do ziemi? Przesąd: kupiec przywiązuje się nie do towaru, jeno do interesu.

Zwracam uwagę szanownych znawców zagadnień społecznych, że przy ubezpieczeniu robotników, wartoby pamiętać nie tylko o takich, którym zębate koło rozszarpie członki, lecz i o inwalidach, o starcach. Przypuśćmy, pracują w fabryce Jan i Piotr. Pierwszy od 15-tu, drugi od 30 lat. I oto pierwszemu z nich wypadek kaleczy rękę i daje prawo do dozgonnego wsparcia; tymczasem drugi, zreumatyzowany lub od wyziewów półstruty, a w każdym razie zdręczony, bezsilny, nie ma prawa do pomocy— a tu dzieci wrzeszczą o chleb.. Czy nie ukaże się pokusa i czy nie szepnie: podstaw nogę pod ten młot a dobrze ci się stanie! Okrutny szept, lecz możebny.

Z innej strony, fabrykanci, usunięci od osobistej odpowiedzialności za kalectwo robotnika, czy będą się troszczyć o całość ich członków? Jeżeli dzisiaj widzimy w tym względzie dziwną niedbałość — np. w oddziale machiny, w owej pułapce na całość robotnika, gwoli ekonomii, bywa ciemno jak w lochu, — cóż się stanie wówczas, gdy gospodarz będzie nieodpowiedzialny?

Korespondent gazety *Nowoje Wremia*, kończąc opisanie swej wizyty u Bismarka, raptem zaczyna się unosić i nad śniadaniem u owego pana i nad dobrocią jego i nad mądrością, a więc narzekać na los srogi względem tak dostojnej jednostki.

Wszystko to czyni honor dobremu sercu gościa i jeszcze raz dowodzi, że na ludzi słabej woli stary dyplomata umie wpływać znakomicie.

*N. B.*

## BADANIA NAUKOWE.

### „ROUSSEAU'IZM."

Umysłom, wierzącym we wszechpotęgę idei, w oderwaniu od warunków przedmiotowych, dalibyśmy do rozwiązania jedną zagadkę. Potężny ruch czartystów istniał przed półwiekiem w Anglii. Nie kroczył on ścieżkami zdawkowego demokratyzmu, nie szukał rozstrzygnięcia kwestyi społecznej po za organizacyą społeczną w prywatnych eksperymentach i eksperymencikach do niczego nieprowadzącej samopomocy ekonomicznej i nie przemawiał do dobrych serc mieszczaństwa, lecz jasno i wyraźnie wypowiadał myśl, że jedynie ujęcie klasowe maszyny państwowej i skierowanie jej ku zagadnieniom społecznym może rozwiązać palące niedomagania chwili bieżącej. A jednak wszystko to minęło wraz z ideą „świętych dni" i „świętych miesięcy" ogólnokrajowych. Zamiast polityczno-klasowej akcyi nastały czasy cechowej odrębności Trades-Unionów; zamiast jednej niepodzielnej kwestyi społecznej, rozczłonkowano ją na mnóstwo pojedynczych, niby nawzajem niezależnych: ukazały się kwestye mieszkalne, zarobkowe, materyalne. I znowu po kilku dziesiątkach lat milczenia dawna fala powraca, lecz czartyzm odradza się w innej, szerszej postaci. Nowy zwrot zrodził się po za drobnomieszczańskimi w swych ideałach Trades-Unionami, które raczej gorliwie usiłują zażegnać i rozwiać chmurę, jak dowiodła tego między innemi ich taktyka w dniu 4 maja. Lecz oddaliliśmy się nieco od przedmiotu; chcielibyśmy bowiem tylko wskazać, że „idea" była niegdyś w Anglii; pierzchła następnie przed innemi mocno zdawkowemi lub jawnowstecznemi dążnościami i znowu się narodziła. Wytłomaczenia tej zagadki należy szukać w nader prozaicznych i pospolitych czynnikach: w warunkach materyalnych. Upadek czartyzmu idzie ręka w rękę z niezmiernym rozkwitem w Anglii ekonomiczno-produkcyjnym. Najmita uczestniczy w zyskach swojego pracodawcy i z niezadowolonego dyabła staje się zadowolonem stworzeniem, które zapomina o wszystkiem, co nie leży tuż pod nosem. Lecz rozwój przemysłu w innych krajach powoli strąca dawną królowę mórz z jej stanowiska; najważniejsza produkcya, wyrobów bawełnianych, poczyna uciekać do południowych stanów związku północno-amerykańskiego i do Indyj przedgangesowych, inne — chromać w walce o rynki. Zyski kapitału maleją, przedsiębiorcy usiłują to powetować sobie na płacy, która i tak spada wskutek wzrastających rezerw głodnego najmictwa. Dawne wspomnienia zmartwychwstają. Przed kilku numerami mówiliśmy w *Prawdzie* o jednem zdarzeniu, które wypłynęło na tej powracającej fali—sądzie mieszczaństwa nad Spencerem za to, że niegdyś w jednem ze swych dzieł wydrukował pewne poglądy teoretyczne, służące dzisiaj za oręż „warchołom." Wśród sędziów spotkaliśmy imię znanego badacza Huxley'a. Uczony ten, zaważymy, widocznie jest ulepiony z nieco innej gliny, aniżeli nasi jego współzawodowcy, gdyż naprzekór wyrobionym u nas poglądom zabiera często głos w różnych sprawach natury społecznej; niedawno np. skończył się długi spór jego z biskupami angielskimi, w wysokim stopniu gorszący prawowierne koła angielskie. Można nie zgodzić się na jego teorye, lecz należy przyznać, że kiedy inni biadali nad nietaktycznością Spencera z powodu wygłoszenia przezeń kilku poglądów, nieco niebezpiecznych dla porządku społecznego, Huxley tymczasom uchwycił istotnie zasadniczy rys w doktrynie autora *Filozofii syntetycznej* i wyciągnął go na jaw, wskazując na pewne aprioryctyczne założenia, zapożyczone od szkoły Roussa. Nie poprzestał jednak na tem. Widząc, że „Rousseau'izm" jest dzisiaj podstawą, na której opierają się w swych wymaganiach rzecznicy unarodowienia ziemi i że wogóle, od czasów wielkiej Rewolucyi francuskiej, służy on za narzędzie warcholstwu, postanowił zmódz tego zasadniczego wroga porządku społecznego. „Po upływie stulecia pisma Russa uchodzą w oczach bardzo wielu za „magna charta" rodu ludzkiego. Wolność, równość i braterstwo są wciąż okrzykiem bojowym i wielu wraz z Roussem mniema, że cierpienia ludzkie to następstwo sztucznego układu społecznego... Ci, którzy przeczytają te pisma do końca (mowa o kilku krytykach), zmiarkują niewątpliwie, iż latarnia polityczna Rousseau'izmu jest ledwie gromnicą i zaprowadzi tych, co pójdą za nią, w najgłębsze bagna anarchizmu." Zdania powyższe, zmierzające widocznie do obalenia przeciwnika, czytamy w rozprawce o przyrodzonej nierówności między ludźmi, drukowanej w jednym z miesięczników angielskich. Nad pracą tą, która nie posiada zresztą żadnego większego znaczenia, zatrzymujemy się, ponieważ poglądy, wypowiedziane przez biologa angielskiego, są kursującą w świecie monetą.

Na czem więc polega Rousseau'izm z jego niebezpieczeństwami i manowcami? Otóż na tem, że wychodzi z pewnych apriorystycznych a bezwzględnych założeń, do których usiłuje nagiąć życie społeczne i przebudować ustrój, nie pytając się, czy można to uczynić i czy jego teoretyczne ideały nie są raczej chimerą. Założenia te zostały streszczone w tak zwanem „prawie naturalnem." Ludzie są z natury równi, wolni, jednakowo dobrzy i na tej zasadzie posiadają prawo przyrodzone do równości i wolności wraz z obowiązkiem — być dobrymi. Filozofia ta społeczna, wyznawana zresztą w całej swej rozciągłości jedynie przez sankiulotów z r. 1793, stała się dzisiaj, po wielu latach zapomnienia, hasłem radykalnych odłamów Anglii. Huxley wziął sobie właśnie za cel obalenie tej apriorystycznej zasady „praw naturalnych." Rzuca on więc pytanie, czy istotnie ludzie rodzą się wolnymi i równymi. „Oglądałem bardzo wiele niemowląt — rozumuje pół poważnie i pół żartem — i chociaż im szacunku nie odmawiamy, trudno mi zrozumieć, jakim sposobem można upatrywać w nich pewne uzdolnienia polityczne. Czyż podobna o biednym drobiazgu mówić, że jest wzajemnie sobie równy w innem znaczeniu nad to, że jest zerem? Albo czy można go nazwać wolnym, wszak żadne dziecko nie wyżyłoby jednej doby bez cudzych rąk dobroczynnych." Zdaniem Huxleya, Arystoteles najbardziej zbliża się do prawdy ze swoim niewolnikiem „urodzonym." Rousseau twierdząc, że wszyscy ludzie rodzą się równymi jako przyszli piastuni losów i organizacyi społecznej, popełnia błąd nie do darowania; w istocie bowiem szalone różnice istnieją już pomiędzy dziećmi tych samych rodziców; cóż dziwnego, że odezwać się one muszą później i w ustroju społecznym. Każda rodzina przedstawia niby drobne społeczeństwo; wśród grona braci i sióstr jedne osobniki są bardziej poważane i słuchane, inne

---

wszystkim i kilka groszy szpitalowi. Czy mam wskrzesić waszego księdza, którego tak kochaliście i opłakiwali?

— Nie, nie! — zawołało kilka zakonnic— nie czyń tego panie czarodzieju.

Rosselina zaś, przełożona ich, dodała:

— Kochany, poczciwy człowiek! Jakże on już był stary i głuchy, głuchy jak garnek! Gdy mu na spowiedzi mówiono czarno on rozumiał biało. Pozostawmy go na łonie Abrahama; na jego miejsce dostaliśmy małego, młodego pasterza, który bardzo dobrze wygląda. Szanowny człowiek ten nasz nowy ksiądz. Śpiewa jak organ, mówi jak archanioł, a trzodę swoją prowadzi, jak należy.

— Cóż mam na to odrzec? Jeżeli tak jest, obejrzmy się za kimś innym. Patrzcie, tu stoi krzyżyk drewniany, pokryty trawą i kwiatami, które jak gdyby chciały zasłonić jego czarną barwę. Spoczywa tu niemowlę, które liczyło zaledwie dziesięć miesięcy. Rzeczywiście byłoby grzechem budzić je ze snu; jest ono tak szczęśliwem, że już nie żyje w tym samolubnym i podłym świecie, gdzie trzeba słuchać, co wy o mnie mówicie, moi przyjaciele. Jeżeli wszakże sobie życzycie, wskrzeszę to dziecko.

— Panie czarodzieju — rzekła jakaś staruszka płacząc — ono do nas należy — ja jestem jego babką. Moja córka karmiła je i już dostawało ząbków, gdy zmarło. Bóg nam je zabrał, niech się stanie jego wola. Teraz mamy inne. Co niebo wzięło nam jedną ręką, to dało drugą. Nie wskrzeszaj tego maleństwa, gdyż córka moja nie ma mleka dla dwojga, a na trzymanie mamki nas nie stać.

— Dosyć na dziś — rzekł lekarz. Ponieważ nie chcieliście, ażebym dokonał cudu, zrobię to kiedyindziej, nie wskrzeszając umarłych, ale przeszkadzając wam umrzeć.

Ukłonił się grzecznie i odszedł.

Od tej niedzieli sprawiał on cudowne uzdrowienia w Cucugnanie. Umarłych pozostawiał w spokoju, ale niejednemu uratował życie. Mieszkańcy mieli do niego wielkie zaufanie, bo — mówili — jeśli nie dotrzymał słowa, nasza w tem wina.

Na tem kończy się opowieść, a jak widzicie — kończy się dobrze.

mniej, a to dzięki rozmaitym swoim uzdolnieniom duchowym. Niech dziatwa wyrośnie i utworzy istotne społeczeństwo, a odrazu w fakcie naturalnym różnorodności uzdolnień otrzymamy zarodek hierarchii osób i rzeczy. Nierówności polityczne są następstwem organicznych. Słowem, twierdzenie, że ludzie rodzą się równymi, a tem samem jednakowe posiadają prawa, uważać należy za niedorzeczność i niepodobna sobie nawet przedstawić najdzikszego społeczeństwa, gdzieby zupełna pomiędzy osobnikami panowała równość. Wraz z zasadniczem twierdzeniem upadają wyprowadzone z niego wywody. Huxleya, który wziął pióro do ręki ze względów praktycznych, obchodzi naturalnie teorya przeciwników o bezprawiu własności prywatnej. Sądzi on, że skoro ludzie nie są równi i z konieczności rozliczne w społeczeństwie odgrywają role, nie wolno też mówić i o jednakowem ich prawie do ziemi. Porzucając następnie teoryę i przechodząc na grunt rzeczywistości, przekonywa, że wyniki błędnej zasady w sferze praktycznej doprowadziłyby do chaosu. Według Roussa wszyscy ludzie posiadają jednakie prawo do tego, co istnieje w przyrodzie. A zatem, jeśli grunta angielskie staną się ogólno-narodową własnością, wtedy chińczycy i czerwonoskórzy, mając takie same prawa do ziemi, mogą zażądać ich uwzględnienia w imię etyki naturalnej. Co na to powiedzą rzecznicy Rousseau'izmu? Czyż uczynią zadość „prawu naturalnemu,“ czy nie wystąpią z orężem w obronie „bezprawia“? Huxley, nie poprzestając na odparciu danych zarzutów, jeszcze jedną stara się obalić tezę. Rousseau'iści twierdzą, że własność ziemska wyłoniła się z najazdu i podboju. Nasz biolog usiłuje wykazać bezzasadność tego sądu. Przypuszcza naprzód, że tak było, lecz jednocześnie bierze przykład następujący. Złapano, dajmy na to, szajkę rozbójników morskich i odebrano im zrabowane łupy. Czyż etyka załodze, która ujęła rozbójników, nie przyzna części zabranego majątku, chociaż jest on owocem grabieży? Któż zaprzeczy prawowitości mienia, który powstał z tego źródła? Podobnie rzeczy stoją z własnością ziemską, z tą wszakże odmianą, że wojna mocno różni się od grabieży; walczące bowiem strony są przygotowane z góry i wiedzą, co czeka jedną w razie przegranej, kiedy idą do boju. Grunt, zdobyty na wojnie, uległ zresztą od tego czasu różnym przejściom, drogą umowy i kupna. Lecz hypoteza takiego rodowodu własności ziemskiej jest mylna. Od czasów, kiedy żył Rousseau, upłynęło półtora wieku. Nowoczesna nauka rzuciła zupełnie odmienne światło na genezę majątków gruntowych. Wykazała ona, że nigdy nie było takiego stanu, w którymby ziemia należała do całego narodu ludzkiego lub nawet do jednego narodu: zawsze istniało prywatne władanie, chociaż posiadaczami były nie jednostki, lecz grupy wioskowe; w dalszym ciągu dowiodła, że ta pierwotna postać zbiorowego władania przeszła w ręce pojedynczych właścicieli, nietylko dzięki wojnie, ale także na mocy ewolucyi, w imię wymagań techniki i postępu ekonomicznego. Niegdyś mniemano, że religie są wymysłem chciwości i oszustwa kapłanów; dzisiaj wiemy, iż były niezbędną fazą rozwojową, wynikającą z samej natury umysłu ludzkiego. Podobnie i własność jest naturalnym skutkiem wrodzonej nierówności pomiędzy ludźmi. Huxley wyraża w końcu nadzieję, że wyznawcy Rousseau'izmu niewiele wskórają. Po cóż więc było wymierzać przeciw nim takiego kalibru działo? „Widząc, jak wielkiemi a rozmaitemi są nieuniknione cierpienia człowieka i jak wiele na tem zależy, aby wszyscy wzięli się z najlepszą wolą i myślą do złagodzenia tych plag, które można usunąć, uważam za rzecz godną pożałowania, że niektóre osoby są powstrzymywane przez te spekulacye mgliste od znalezienia owej wązkiej ścieżyny, która jedynie prowadzi jednostki i ludy do stałego a pewnego dobrobytu.“

Słowem, Huxley reprezentuje w zupełności ów odłam zdrowego rozsądku, który mocno trzyma się gruntu rzeczywistości. Rozumowanie jego jest jakby wyjęte z ust przeciętnego obywatela. Najciekawsze są dzieje Rousseau'izmu jako metody i jako zbioru żądań. „Prawa naturalne“ to sztandar wybijającego się na wierzch mieszczaństwa. Pod tem hasłem żądano zniesienia ekonomicznych i politycznych przywilejów feodalizmu, organizacyj cechowych itd. Nie darowano ani jednemu „bezprawiu.“ „Bezwzględna polityka“ cieszyła się wtedy uznaniem. Została ona wprawdzie skompromitowana w r. 1793 przez rzeczników sankiulotyzmu, którzy wywnioskowali z niej równość dochodów z równością użycia; lecz darowano jej to przeniewierstwo, a raczej nadmierną logikę, bo trzeba było wciąż jeszcze oręża przeciw szkole historycznej, wyłonionej przez feodalizm i poszukującej źródeł owej mieszczańskiej „natury.“ Lecz kiedy najmictwo, to potomstwo sankiulotów, poczyna zwracać się do praw naturalnych, w duchu wywodów Roussa, mieszczaństwo zaczyna albo je kastrować, co uczynił dzisiejszy Spencer, lub czując już grunt dziejowy pod nogami, odwoływać się w osobie Huxleya do praw historycznych. Zatrzymajmy się nieco nad pierwszym. Niegdyś stał on na gruncie Rousseau'izmu wraz z wnioskiem, że prywatne władanie jest bezprawiem. Było to niemal przed półwiekiem. Dzisiaj zajął odmienne stanowisko. Z powodu wspomnianego sporu wydrukował niedawno dwie rozprawki: o bezwzględnej etyce politycznej i o sprawiedliwości. Czy możliwą jest taka etyka bezwzględna? Według niej, w idealnym ustroju politycznym jednostki żyć winny i działać bez wzajemnego tarcia, z możliwie największą korzyścią wspólną. Ideał ten służyć ma za pochodnię, podobnie jak prawo dźwigni matematycznej w praktycznych wyliczeniach mechaniki. Zbytecznem byłoby dowodzić, że owa bezwzględna etyka polityczna to tylko inaczej brzmiący Rousseau'izm. Lecz Spencer, rozwinąwszy swoją etykę, czyni jedno uzupełnienie, obce potężnemu umysłowi filozofa przeszłowiekowego, mianowicie, że w imię polityki bezwzględnej nie należy rozstrzygać spraw bieżących, a wnioski odpowiednie, nim zostaną wypowiedziane, powinny być „sprawdzone indukcyjnie.“ Cóż to wszystko oznacza? Po prostu tylko to, że wnioski bezwzględnej etyki politycznej, nie sprawdzone indukcyjnie (przeciwne interesom mieszczaństwa) winny być odrzucone, a sama teorya trzymana jaknajdalej od gruntu praktyki społecznej... Huxley zrozumiał już całą dwuznaczność i niebezpieczeństwo takiej pozycyi i odwołał się do prawa historycznego. Lecz właśnie tutaj tkwi początek innej komedyi dziejowej. Rousseau'izm, jeśli stał się obecnie hasłem dążności nie-mieszczańskich, służy on tylko za środek agitacyjny. Dawna szkoła historyczna odwołała się przeciw apriorystycznym zacieśnianiom społecznym do analizy faktów dziejowych; pojęła ona, że prawo naturalne jest fikcyą, a „polityka bezwzględna“ odbiciem wiadomych warunków, wytworem rozwoju historycznego. Badania jej wyznawców, np. Maurera, dostarczyły materyału innej szkole, znanej pod nazwą doktryny materyalistycznego pojmowania dziejów. Historya społeczeństw terytoryalnych — to walka antagonizmów klasowych, prawo — sformułowanie zajętych już lub pożądanych dopiero stanowisk. Każda pozycya zdobyta rozszerza dawną ustawę klasową. „Naturrecht'u“ niema, jest tylko „das erworbene Recht,“ a siła klasowa (tj. pięść uzbrojona myślą) wraz z warunkami produkcyjno-technicznymi, rozstrzyga o względzie zdobytego prawa. Zaprzeczenie własności prywatnej ziemskiej jest następstwem istnienia bezrolnych a pracujących tłumów, unarodowiona zaś forma jedyną postacią władania, umożliwioną przez historyczne warunki i rozrost sił produkcyjnych, wymagających centralizacyi ekonomicznej. „Prawo zatem naturalne“ do ziemi, wysławione przez najmitów angielskich, jest tylko wypowiedzeniem klasowych interesów na gruncie szczególnego historyczno-ekonomicznego dobytku, Rousseau'izm zaś dość zdawkowym sposobem propagandy, a nadto wyrazem słabego rozkrzewienia zasad nowoczesnej krytyki naukowo-społecznej. Przeciw rozwojowi w tym kierunku Huxley niewiele wskóra nawet ze swoją przyrodzoną nierównością. Jeżeli wśród ludzi będą wyższe umysły i uzdolnienia, natury czynne i bierne, dla każdego znajdzie się odpowiednie miejsce w unarodowionej a zcentralizowanej gospodarce, podobnie jak to widzimy w gminie hinduskiej. Lecz w imię czego ludzie będą wtedy równi w zakresie użycia, zapyta się jakiś rousseau'ista. Zauważmy, że równość jest ideałem mieszczańskim, który wykwitł na podkładzie szczególnego układu interesów i uczuć. A kto ręczy, jakie uczucia zapanują w przyszłości? Być może, zrozumieją potomni, że niema równości pomiędzy ludźmi, że przeciwnie istnieje wielka rozmaitość pragnień, potrzeb i uzdolnień. Zamiast jednakowego łokcia dla wszystkich ludzi, przyszłe pokolenia postawią inną a odpowiedniejszą skalę: prawo jednostki do zaspokajania swoich potrzeb i obowiązek pracy na rzecz społeczną według zdolności. To „prawo naturalne“ (prawdopodobnie jakiś metafizyk tak je nazwie) będzie nader odmienne od Roussowskiego, okazując tem samem, że jest tylko następstwem i odzwierciedleniem warunków historycznych.

*K. R. Żywicki.*

## NA TORZE OGÓLNO-DZIEJOWYM.

Nie znam gałęzi wiedzy, któraby dla człowieka bardziej była ponętną i zarazem trudniejszą od historyi ludów. Ilekroć troska o chwilę obecną i przyszłość najbliższą nie przygniata swym ciężarem strudzonej głowy, mimo wiedzy i woli wkraczamy zazwyczaj myślą w sferę czasów ubiegłych, coraz dalej, coraz głębiej, wiążąc ogniwo z ogniwem, dzień teraźniejszy z wczorajszym i onegdajszym. Jakiś urok niepohamowany ciągnie nas w tę macierzystą, bezdenną toń czynów przebrzmiałych. Każda jednostka uspołeczniona, odczuwająca w sobie tętno ruchu zbiorowego, zwraca się, z coraz to nowym pytaniem na ustach, ku drogocennej a tajemniczej skarbnicy przyczyn, których skutki, niby fale, o łódź żywota biją. Ale od marzycielskich, błędnych wędrówek — do nauki jeszcze daleko. Czemże bo jest historya narodu, w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu? Kolosalnym obrazem ustopniowanych a najróżnorodniejszych stanów bytu społecznego w przeszłości; księgą bez początku i końca, olbrzymią, nader ciekawą, chociaż nie wszędzie czytelną. Czemże będzie wykład jej popularny? Wizerunkiem, przedstawiającym spójny a możliwie jasny zbiór głównych, jużto następujących po sobie, jużto równoległych ogniw. Podobnie, jak i na owem wielkiem płótnie, wszelki odłam życia — rodzinny, towarzyski, socyalny, polityczny, przemysłowo-handlowy, szkolny, myślicielski, literacko-artystyczny — znajdzie w tej miniaturze swe odzwierciedlenie; drugorzędne wszakże fakty i osoby, rysy ciemne, poglądy sporne pozostać muszą na uboczu. Łatwa teorya, ale trudne zastosowanie: starać się tu bowiem ciągle trzeba o jak najodpowiedniejszy układ i oświetlenie szczegółów, o równowagę wreszcie pomiędzy krańcową zwięzłością a rozwlekłością, ową Scyllą i Charybdą metody szkolnej. Trudności powiększą się

w stosunku geometrycznym, gdy przejdziemy na grunt historyi ogólnej, zwanej zwykle powszechną, a zwłaszcza na jej terytoryum nowożytne. Przedstawiać ona będzie albo cały szereg opowiadań szczegółowych (Francya, Niemcy, Anglia i t. d.), albo jednolity, jak najbardziej około pewnych epok zogniskowany całokształt. Pierwszy sposób odznacza się prostotą i o tyle nie wyłącza drugiego, o ile pewne fakty, mające ogólną doniosłość, mogą być zaakcentowane, jużto w jednym ze szczegółowych ciągów, jużto w osobnych artykułach, stanowiących wstęp lub zakończenie rozdziałów. Drugi przedstawia gotowe ramy do podręcznika, którego zadaniem jest zwięzłość. Musimy tu wiele, bardzo wiele opuszczać, ograniczając się na rozjaśnieniu kilku zjawisk centralnych w promieniu dostrzegalnego ich wpływu. Jeżeli bowiem za oś dziejów nowożytnych uznamy takie epoki, jak odrodzenie sztuk i nauk, odkrycia morskie i wynalazki, reformacya religijna i reakcya katolicka, to nie mamy prawa mówić o całym wschodzie słowiańskim, który u danych źródeł wcale niemal się nie odżywia. Zresztą i ogół ludów zachodnich bardzo słabe w niektórych prądach głównych przyjmował uczestnictwo; tak np. odkrycia morskie—nietylko w Polsce i Czechach, ale także w Niemczech i we Francyi wyraźnem nie odbiły się echem. Można wreszcie dwa te sposoby dowolnie splątać, uwzględniając z jednej strony wybitne tory cywilizacyjne europejskiego zachodu, z drugiej potrzebę praktyczną, która nie pozwala zaniedbywać ziem, choćby najbardziej od ogniska ruchu oddalonych, jeżeli one interesują czytelnika, jako własne lub pokrewne. Takiej dwulicowej metody chwycił się p. Tadeusz Korzon, w swej *Historyi nowożytnej* (tom I, 1889). Cały obszar dziejów, od połowy XV-go do zarania XIX-go wieku, dzieli on na cztery wielkie peryody („odrodzenia i odkryć", „reformacyi", „równowagi politycznej" i „rewolucyi"), a każdy z nich na kilka podokresów. Niemożność dopasowania historyi ziem wschodnio-słowiańskich do stereotypowych szranków, które nasz autor w spadku po swych poprzednikach odziedziczył, uwydatnia się już w konturowej charakterystyce okresów. Pod rubryką np. „czterdziestolecie Filipa II" umieszczono unię lubelską i wojnę inflancką. Szczególne powikłanie! Wszakże „demon południa" na te wypadki najmniejszego nie wywiera wpływu; po co je więc z jego imieniem sprzęgać? Historyk trzyma się wszędzie metody.. podwójnej, którąby wypadało nazwać *łączno-rozłączną*. Mówiąc np. o odkryciach morskich, umieszcza Vasko-da-Gamę tuż po Bartłomieju Diazie, jakby nie było między nimi ogniwa, oznaczonego rokiem 1492. A dlaczego? Bo niechce spraw hiszpańskich kojarzyć z portugalskiemi. O Krzysztofie Kolumbie rozprawia on pod nagłówkiem: „Tworzenie się (?) Hiszpanii i odkrycie Ameryki." Pomijając to, że powstanie jednolitej monarchii na półwyspie pirenejskim było koniecznym wynikiem kilkowiekowej walki, musimy chyba przyznać, iż dzieło nieśmiertelnego genueńczyka zostaje w daleko bliższym związku z podróżą Diaza, niż ze zdobyciem Grenady. Gdy mowa o pewnym prądzie ogólnym, należy iść naprzód, pilnie trzymając się wytkniętego toru i porządku chronologicznego, bez względu na to, z jaką narodowością mamy do czynienia. Tymczasem historya powszechna ma przedstawiać jak największe skupienie rozstrzelonych promieni życia a zjawiska jednorodne starannie grupować? O tej prawdzie zasadniczej zbyt mało p. Korzon pamięta. Jak Krzysztofa Kolumba rozdzielił z Diazem i Vasko-da-Gamą, tak Kalwina z Lutrem i Cwingliuszem. Co gorsza, o Ignacym Lojoli, pierwszym wodzu reakcyi katolickiej, dowiadujemy się daleko wcześniej (str. 109), niż o zakonitym reformatorze francuskim (str. 161), którego katechizm wyprzedził przecież na lat kilka narodziny towarzystwa Jezusowego. Są wprawdzie przeszkody praktyczne, niepozwalające na ścisłe zespolenie faktów pokrewnych; ale do pewnego stopnia przemódz je można. Reforma Lutra, podobnie jak i Kalwina, ciągnie za sobą cały szereg następstw, odgrywających się przeważnie w ramach ziemi, która jest ojczyzną apostoła; obie wszakże są skojarzone ze sobą ideą i rodem, a historyk musi ten ślub niezaprzeczony dobitnie zaakcentować. Dążąc zaś do tego celu, powinien wszelkie zawady usuwać i skarbczyk drugorzędnych szczegółów erudycyjnych odpowiednio ścieśniać. Powtarzanie imion i faktów, wobec przyjętej jakoby metody synchronistycznej, jest rzeczą zgoła naturalną. Nie pojmujemy jednak, dlaczego autor, wyprowadziwszy Karola VIII i Ludwika XII na widownię wojen włoskich, nie załatwił się nawiasowo z ich rodowodem i wogóle specyalnemi sprawami, dlaczego mówi o nich powtórnie, w rozdziale „Francya i Kalwin"? Wszakże oni obaj z ruchem reformatorsko-religijnym nic wspólnego nie mają? Co nas tu obchodzić może siostra Karola VIII, Anna, lub Klaudya, córa Ludwikowa? Podobne regestry dynastyczne i drobiazgi są niepożądanym balastem, nawiasem w nawiasie, tamującym rozwój głównego opowiadania.

W pięknej skądinąd a wielce pożytecznej książce p. Korzona spotykamy kilka usterek logiczno-stylowych. „Kościół św. Piotra (mówi on na str. 10) *uważa się za arcydzieło dlatego, że był wznoszony i ozdabiany przez niezrównanych mistrzów*, którzy jednocześnie żyli i wspólnie pracować mogli w owym szczęśliwym dla sztuki, wieku Medyceuszów." Dwa takie pojęcia, jak „mistrz" i „arcydzieło," przyciągają się wprawdzie nawzajem i nierozłączną, rzec można, stanowią parę; ale czyż każdy płód pierwszorzędnego nawet geniusza ma być już zjawiskiem nadzwyczajnem? Bazylice Piotrowej areopag sędziów kompetentnych *dlatego* chyba przyznał wyjątkowo okazałe stanowisko w dziedzinie sztuki, że odpowiada ona wszelkim wymaganiom estetycznym, specyalnie wykształconych a czułych na piękno znawców. Mówiąc o szczegółach pierwszej podróży Kolumba, tak się wyraża: „*Przypadek zrządził*, że w tej szerokości geograficznej ocean Atlantycki posiada największą rozciągłość" (38). Sądzę, owszem, że wobec teoryi powstawania mórz i lądów, ustosunkowanie ich wzajemne w różnych miejscach, jest raczej wynikiem matematycznym, niż przygodą losową; przypadek tylko mógł zrządzić, iż odkrywca tę właśnie wybrał drogę, co niezawodnie chciał nasz historyk zaznaczyć. O Machiawelim na str. 76 czytamy: „Wielkie znaczenie jego w literaturze zasadza się na tem, że pierwszy po Arystotelesie napisał on systematyczne traktaty o polityce... Ale umiejętność polityki nie jest jego wyłącznym wynalazkiem; znajduje się bowiem w raportach posłów weneckich, florenckich i ministra neapolitańskiego, Jakóba Pontano z końca XV-go wieku." Wyrażenie „umiejętność polityki" jest zanadto ogólne; stąd wynikają sprzeczne pozornie sądy i rzeczywista ciemność stylu. Jeżeli Machiawel uprawiał pole, zorane niegdyś i zasiane przez Arystotelesa, to „umiejętność polityki" nie jest „wynalazkiem" ani znakomitego florentczyka, ani współczesnych mu niemal dyplomatów włoskich, lecz genialnego filozofa greckiego. Autor mówi tu chyba o pewnych torach, ideach, dążnościach, wybitnie charakteryzujących nowożytną politykę, a specyalnie włoskich jej przedstawicieli; szkoda tylko, że jakąś mgłą szarawą myśli swe przyobleka.

Gdy mowa o formie, zanotujemy nawiasowo jedną usterkę gramatyczną. Na str. 330 opowiada autor o losach „ziemi, *zamieszkałej* przez plemiona fińskie i litewskie." Wartoby było zgodzić się już raz na to, że *zamieszkałemi* są ludzie, a *zamieszkanemi* — przestrzenie ziemi, okolice i budynki. Drobną plamką na bogatej w szczegóły, starannie wydanej, a pięknemi rysunkami ozdobionej pracy jest daleka od doskonałości transkrypcya nazw cudzoziemskich: wyraz np. *Chièvres* ma się wymawiać *Szyjewr*, *Montpensier* — *Mąpansije*. Trudno zapewne po polsku oddać brzmienie obce; ale arcy-patryotyczne pielęgnowanie owej zagadkowej już dzisiaj w słowach cudzoziemskich dwuzgłoski *yja*, *ija* — przynajmniej w tym razie powinno być zarzucone: kombinacya *Szjewr* daleko lepiej odpowiada oryginałowi, niż *Szyjewr*.

Tom pierwszy doprowadza opowiadanie do r. 1648, a całość, jak nas uprzedza autor, zamknąć się ma na kongresie wiedeńskim (1815). Nie śmiałbym historykowi żadnego stąd czynić zarzutu — wolno każdemu zawrzeć swą pracę w mniej lub więcej ciasnych szrankach; ale we wstępie znajduję niebardzo racyonalne umotywowanie przyjętej granicy, i to mię właśnie upoważnia do podniesienia głosu. „Na kongresie wiedeńskim (pisze p. K.) zakończy się wykład naukowy historyi powszechnej, chociaż bowiem od owego czasu do chwili obecnej zaszło wiele zmian w układzie politycznym i społecznym, w zasobach wiedzy, udogodnieniu materyalnych warunków życia, w pragnieniach i nadziejach świata cywilizowanego; lecz te wszystkie zmiany nie mogą być jeszcze wyjaśnione i wytłomaczone z należytą dokładnością." Nasuwa się mimowoli pytanie: jak długo czekać na to będziemy? Czy szanowny autor jest zresztą pewny, że opowiedziane przezeń dzieje starożytne, średniowieczne, a wczęści i nowożytne—nie noszą na sobie tu i owdzie grubej zasłony, której uchylenie będzie zasługą potomnych? Czyż nakoniec dokładniej zna on historyę Egiptu, wielkiej wędrówki ludów, wypraw krzyżowych itd., niż np. przyczyny, koleje i skutki wojny o niepodległość Włoch? Wszakże nie brak materyału do dziejów bieżącego stulecia, a kongres berliński (1878) jest podobno słupem granicznym, o który się uczony badacz w swej podróży śmiało oprzeć może. Mnogie próby, przedsiębrane przez obcych, a nawet i współziomków (w skromnej mierze) powinny były zachęcić wytrawnego pracownika do dalszej uprawy ponętnego a plennego pola. Cóż stąd, że wiele jeszcze kwestyj pozostało niewyjaśnionych? O minionym szeregu stuleci daleko mniej wiemy, a przecież rozprawiamy i rozprawiamy bez końca. Dzieło pisarza, choćby najlepsze, wiekom następnym już nie wystarczy. Korzystajmy z obfitych źródeł, jakie mamy pod ręką; potomni je zczasem zbogacą i coś lepszego na szerszym zbudują gruncie.

Praca p. Korzona, chociaż niezupełna, brakiem ładu i symetryi nieco grzesząca, stać będzie wysoko ponad dotychczasowymi u nas w tym rodzaju podręcznikami. Autor, wyborny znawca uprawianej niwy, nie szczepi fałszów ani pół-błędów; zestarzałe poglądy częstokroć na podstawie nowszych badań prostuje; umie czytelnika zaciekawić i wykład uprzystępnić. Dołączone do tekstu rysunki (w liczbie 64) znakomicie rzecz ułatwiają. Drugiego tomu wyglądamy z niecierpliwością.

*A. G. Bem.*

## WYNALAZKI.

**Zabijanie zapomocą elektryczności.** Dokonana niedawno w Auburn pod New-Yorkiem próba stracenia przestępcy zapomocą elektryczności dała bardzo ujemne rezultaty. *Indep. Belge* opisuje wykonanie wyroku śmierci na zabójcy Kemmlerze w następującym, okropnym obrazie. Skazaniec, uwiadomiony wcześnie, objawił wielki niepokój. W przeddzień egzekucyi drżał jak liść i za najlżejszym odgłosem kroków

wydawał przeraźliwe okrzyki, sądząc, że już nadeszła ostatnia jego chwila. Wieczorem jeszcze błagał kapłana o wstawienie się, aby go nie zabijano elektrycznością, tylko powieszono. Z rana znaleziono go zemdlonym. Hotele od dwóch dni przepełnione były ciekawymi, którzy bądź chcieli być świadkami wykonania wyroku, bądź pragnęli mieć pierwszą wiadomość o jego przebiegu. Władze jednak przedsięwzięły odpowiednie środki, aby nie dopuścić tłumu, lecz tylko lekarzy, elektryków, urzędników oraz kilku przedstawicieli prasy. Wbrew przewidywaniu uczonych, pierwsze wyładowanie elektryczne, chociaż dokonane z wielką starannością, nie było śmiertelnem. Kemmler otrzymał straszne uderzenie, które potwornie wykrzywiło mu twarz; żył jednak. Obecni rzeczoznawcy utrzymywali, że stracił przytomność, jest to wszakże wątpliwem. Po kilkuminutowej przerwie puszczono drugi prąd, trwający 4½ minuty (pierwszy trwał tylko 15 sekund). Tym razem elektryczność dokonała swego dzieła. Wstrętna woń ze spalonej odzieży i ciała rozeszła się naokoło — i skazaniec żyć przestał. Zanim wyjdzie urzędowe sprawozdanie z tej egzekucyi, można już dziś orzec, że elektryczność, przynajmniej w obecnych warunkach, nie jest środkiem właściwym do tracenia ludzi.

### Nowy sposób otrzymywania alkoholu.

*Wiek* za gazetami niemieckiemi podaje szczegóły o głośnem doświadczeniu prof. Wallrafa, które ma stanowić przewrót w dotychczasowej fabrykacyi. Dnia 31 marca r. b. zebrało się w Berlinie pod przewodnictwem ministra skarbu grono fabrykantów alkoholu i przystąpiło do obejrzenia aparatu pomysłu prof. Wallrafa, poczem wprowadzono do przyrządu 100 funtów kartofli, sparzonych poprzednio i zmienionych na papkę. Masa ta spoczywa na dziurkowatej płycie, pod którą mieści się system rur; następnie prof. Wallraf polecił wlać na wierzch 14 litrów płynu, którego skład stanowi jego sekret. Wynalazca ograniczył się tylko na oświadczeniu, że do otrzymania płynu doszedł przez rozpuszczenie w wodzie pewnych przetworów chemicznych, bardzo tanich i pospolitych w wielu okolicach.

Po wylaniu płynu na papkę zamyka się aparat przykrywką, zaopatrzoną od strony wewnętrznej w płytę, która może być dowolnie opuszczona do wnętrza przyrządu. Na tem praca była ukończona i od tej chwili produkcya alkoholu odbywała się już sama przez się.

Aparat pozostawiono tak przez 3½ godzin. Po upływie tego czasu prof. Wallraf nadał jeszcze kilka obrotów owej płycie wewnętrznej, otworzył kurek i czysty, przejrzysty alkohol ukazał się oczom obecnych. Wszyscy znajdujący się przy próbie kosztowali płynu i uznali jednogłośnie, że ma smak wyborny.

Powyższe doświadczenie dowodzi przeto, że można otrzymać alkohol z kartofli za pomocą prostej kąpieli chemicznej; destylacya jest wobec tego zbyteczna, a nadto, co stanowi rzecz największej wagi dla skarbu państwa, każdy będzie mógł wyprodukować u siebie w ciągu 3 do 4 godzin alkohol wyższy od znajdującego się obecnie w handlu; dość bowiem przed samą operacyą oskrobać kartofle, aby otrzymać alkohol czysty chemicznie, bez przymieszek oleistych.

Ale wynalazek ten rokuje inne jeszcze korzyści. Mianowicie nietylko gatunek alkoholu otrzymanego tą drogą jest lepszy, lecz również podnosi się wydajność produktu. Obecnie 100 funtów kartofli daje 6 litrów 100° alkoholu; w opisanym zaś aparacie ilość ta wynosi 8¼ litrów.

Wreszcie masy, pozostałej z fabrykacyi, używano podobno z bardzo dobrym skutkiem w papierniach.

Powiadają, iż wyniki prób z aparatem Wallrafa zrobiły takie wrażenie w sferach rządowych niemieckich, że minister skarbu ofiarował wynalazcy bardzo wysoką sumę za odstąpienie na własność rządu sekretu fabrykacyi.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA FRANCUSKA.

Nowe powieści.

„Modernizm" jest słabą stroną współczesnych powieściopisarzów francuskich. Wszyscy starają się chwytać na uczynku życie, a szczególniej życie psychiczne. A ponieważ najsilniej ściąga na siebie uwagę różnobarwna ćma bulwarowców, kokotek z półświatka i lwic salonowych, więc romans francuski roztacza przed nami coraz to nowe widoki na wyzłocone pieczary próżniactwa, demoralizacyi i upadku.

Mamy właśnie przed sobą dwa nowe obrazy wyższego towarzystwa paryskiego: *Notre coeur* Guy de Maupassanta i *Un coeur de femme* Bourgeta. Maupassant tracił dotychczas niewątpliwy swój talent na powiastki pornograficzne, bez znaczenia. Większe jego rzeczy, jak „Une vie" lub „Pierre et Jean" były nad wyraz słabe. Dopiero „Notre coeur" otwiera nową erę w jego działalności, erę analizy psychologicznej.

Sceną powieści jest salon pani de Burne, która ma służyć za model t. zw., „femme moderne." Fizycznie jestto przepyszna kobieta o bogatych formach i prawidłowych rysach; moralnie — potwór, sztuczna lalka, z oschłem sercem i dość ograniczonym umysłem. Maniery, wychowanie światowe, trochę taktu i śmiałości — wszystko to pozwala jej podbijać serca mężów znakomitych, napełniających jej salon. Do tych należy Maltry, filozof, a raczej światowiec, pozujący na metafizyka, w szarych rękawiczkach; Lamarthe, romansopisarz, dający „preparaty z ludzkiego serca", próżny jak dziecko i spędzający czas u stóp pięknych pań, w swej „klinice." Gdy przechodzi przez salon, pozostawia za sobą falę niepokoju — każda się obawia, aby nie wystąpiła w złem świetle nowej jego powieści. Lamarthe też ich nie szczędzi i traktuje jak pasza: gdy która odwróci wzrok z uwiędłych jego wdzięków na młodsze oblicze, staje się „klaczą." W gruncie jednak Lamarthe bardzo dobrze ocenia kobietę „nowożytną". Nic będę wam wyliczał innych „znakomitości." Wszystko to się kocha lub kochało w M-me de Burne. Ona interesuje się każdym z nich dopóty, dopóki przedstawia coś nowego. Potem przechodzi do następnego. Poprzednich wszakże zatrzymuje uśmiechem, uściśnieniem dłoni, wiele obiecującem spojrzeniem. Samcy dają się omamić; w ten sposób Burne jest wciąż okrążona kollekcyą ludzi znakomitych, którzy ją otaczają obłokiem głośnych kadzideł i cichej pożądliwości. Wielkoświatowa samica panuje nieograniczenie, dzieląc swe względy na równe części pomiędzy posłusznych niewolników.

O miłości z jej strony nie może być mowy: jest ona zbyt „nowożytną", aby miała zamienić wyrafinowaną kokieteryę na uczucie poważniejsze. Zresztą niedawno pogrzebała męża, a takie szczęście dwa razy w życiu się nie zdarza: słodkie więzy małżeństwa miały dla niej wagę kajdan. W rzeczywistości jest ona zajęta tylko swoją osóbką: drobna jej dusza napawa ją tak samem zadowoleniem, jak i piękne ciało, gdy zrana, wyszedłszy z kąpieli, siada pomiędzy trzema lustrami i szepcze, spoglądając na siebie z tyłu, z przodu i z boków: „Jolie, très jolie!"

Ale obok „femme moderne" musimy znaleźć i „homme moderne." Jest nim André Mariolle, zblazowany bulwarowiec, któremu żadna karyera, oparta na bezpośrednim wyzysku, nie udała się, a skutkiem tego, siedząc na sutej rencie, bawi on się w psymizm i rozczarowanie, szukając subtelnych wrażeń. Do spazmów niezaspokojonej próżności dodał masę urojonych cierpień, które skrzętnie wyhodował. Rozbitek taki musi, rozumie się, szukać ostatniej przystani w „miłości." Niestety, wszystkie struny woli rozluźniły się w nim, to też nie jest w stanie nadać decydującego impulsu pani de Burne, która po kolei zwróciła się do niego. Jeżeli więc uległa i oddała mu się, to nie dla tego, że wzbudził w niej namiętność. O, nie, powodem był dobry obiad, suto zroszony winem i przyjemna przechadzka na brzegu morskim, pobudzająca krew do szybszego krążenia. Gdy Mariolle wraca z p. de Burne i całem towarzystwem do hotelu, udaje się do swego pokoju i, stanąwszy u okna, stara się ukoić wzburzoną pożądliwość płciową, wtem drzwi się otwierają i wchodzi kobieta w białej, nocnej odzieży... Pani de Burne umie się oddać po królewsku, bez próśb i bez wyrzutów sumienia, nie jak drobnomieszczańska grzesznica, lecz jak kobieta rasowa.

Łatwo przewidzieć, iż związek ten staje się wkrótce dla niej nadzwyczaj uciążliwym. Pozostaje w tym związku jeszcze przez pewien czas, ale ponieważ wciąż pijaną być nie można, więc jedynie przez dobroć, a może i obowiązek. Mariolle zachował tyle delikatności, iż przykro mu jest korzystać ze względów kobiety, która go nie kocha; ucieka na wieś i tam pociesza się ze swą służącą, „mającą ciało nad wyraz piękne." Próżność nie pozwala wszakże pani de Burne wypuścić ofiary ze zwych rąk; przeto rzuca się ona w pogoń za zbiegiem, i sprowadza go wraz z zakochaną służącą do Paryża. André, mając w domu ładną dziewczynę, więcej będzie przesiadywał w salonie, niż w sypialni pani de Burne. Rozpoczyna się życie we trójkę, które z dodatkiem całej plejady wielbicieli p. de Burne, stanowi jedyne wyjście, jakie może zaspokoić „notre coeur", serce współczesnego samca i współczesnej samicy. Niedawno jeden z pisarzów francuskich proponował inną kombinacyę: normalna rodzina składać się będzie z żony, męża legalnego i przyjaciela od serca dla zaspokajania potrzeb uczucia i fantazyi.

Nigdy jeszcze talent Guy de Maupassanta nie rozwinął się tak wspaniale, jak w „Notre coeur": dzieło to cechuje forma artystyczna, styl przezroczysty i analiza psychologiczna, śledząca najmniejsze rozgałęzienia myśli ludzkiej. Powiedziałbym nawet, iż pod tym względem naśladuje on Bourgeta, który zwykle bierze jakiś przełom namiętności, rozgrywający się między dwojgiem lub trojgiem osób, szczegółowo rozbiera ich dusze, a potem wprawia je w ruch i życie.

Bohaterką nowej powieści Bourgeta jest pani de Tillières, słodka i wątła margrabina, nadzwyczaj namiętna. Serce jej otwiera się dla cudzego cierpienia — szczególniej miłosnego — i zawsze współczuje. W ten sposób zakochała się w panu de Poyonne, nieszczęśliwcu, którego żona uciekła z kochankiem. Pani de Tillières lituje się nad p. de Poyonne — litość zdaniem Bourgeta jest niezbędną częścią składową miłości w sercu kobiety — i stara się go pocieszyć. Jego cierpienie, prawość charaktetu i rozgłos — cieszy się wielkim wpływem w parlamencie, jako mówca — wszystko to wyprowadziło główkę naszej bohaterki z równowagi: zdaje się jej, iż kocha. Pan de Poyonne nie pozostał, rozumie się, obojętny na wdzięki swej pocieszycielki: zapomniał o zdradzie pierwszej swej żony i gotuje się wstąpić w powtórne związki małżeńskie.

Tymczasem pani de Tillières przekonywa się, iż to, co przyjmowała za miłość, było tylko uczuciem głębokiej przyjaźni. Złudzenie miłosne trwało w jej sercu kilka miesięcy, dopóki nie spotkała Raymonda Casal, hulaki i rozpustnika, który wpadł jej w oko i rozniecił płomień niekłamany w sercu. Naprożno margrabina walczy ze swem uczuciem, napróżno tłomaczy sobie, iż Raymond jest nicponiem, przydatnym tylko na podporę klubów i szynków. Moc

magnetyczna, przeciw której czuje się bezsilną, ciągnie ją do niego. Z sercem trudna rada. Wówczas wybucha w niej bolesna walka. Kocha dwóch mężczyzn rozmaitem uczuciem. Pana de Poyonne szanuje, kocha za jego cnoty, delikatność, szlachetność instynktów; drży na myśl o torturach, jakie zada istocie, dla której stała się źródłem życia. Ale z drugiej strony nie mniejsze wzburzenie budzi w niej myśl o Raymondzie i widok jego męzkiej, silnej postawy. On się jej podoba, pomimo swych wad, a może właśnie dla nich, dzięki pewnemu pokrewieństwu, nie mającemu żadnych określonych przyczyn. Serce biednej kobiety rozdziera się i krwawi pod wpływem walki tych rozmaitych uczuć, ale możecie sobie wyobrazić, jaka burza w niem powstaje, na wiadomość, iż wielbiciele jej chcą rozstrzygnąć fałszywą sytuacyę z bronią w ręku. Istotnie, podejrzewając oddawna swe współzawodnictwo, nienawidzą się wzajemnie i przychodzą do wniosku, iż jedyny środek wyjścia przedstawia pojedynek. Lecz pani de Tillières zrozpaczona, rozdarta pomiędzy dwa uczucia, z których jedno, przyjaźni ciągnie ją do Poyonne'a, a drugie, miłości, do Casall'a, ucieka od obu i zamyka się w klasztorze, z intencyą zakończenia w nim dni swoich. W taki sposób Bourget rozcina swój węzeł gordyjski.

*L. W.*

---

## ALEKSANDER GŁOWACKI

(Bolesław Prus).

---

### II.

Wielce nierównomierna wartość tych artykułów, które podpisywał swojem nazwiskiem i tych utworów, pod które kładł pseudonym, sprawiła to, że zarówno literatura, jak ogół prawie nie znają drugiego, tylko pierwszy. Pseudonym zrósł się z nim tak mocno, że nawet ze stosunków prywatnych wyparł nazwisko, które pozostało jakiemś nic niemówiącem wspomnieniem. Tylko dla kolegów szkolnych przechrzczonego autora ma ono pewne znaczenie. Głowacki bowiem bardzo wcześnie zdradzał jakąś oryginalność, której niepodobna było określić i ocenić, która jednakże znamionowała umysł niepospolity. Towarzysze jego gimnazyalni pamiętają, że nauczyciel języka polskiego, oddając przejrzane ćwiczenia, mawiał zwykle. „Z p. Głowackim o jego pracy kilka słów pomówimy.“ Oprócz tych ćwiczeń celował on w matematyce i humorystyce. Żartobliwe łatki, przypinane profesorom i kolegom, które obiegały klasę, wydobywanie śmieszności tam, gdzie ona się kryła, lub narzucanie tam, gdzie jej nie było, karykaturowanie rzeczy i osób, tłomaczenie wszystkiego na język drwiny, przeskakiwanie w czapeczce z dzwonkami od przedmiotów najbłahszych do najbardziej uświęconych, dowcip i błazeństwa, nieprzebaczające nikomu i niczemu — oto były pierwiastki tego humoru, rozlewającego się w zakresie wiedzy i pojęć gimnazisty. Była to jedyna epoka śmiałej wolnomyślności w rozwoju duchowym Głowackiego. Naturalnie, bawiąc się temi zawiązkami przyszłego talentu, lekceważono je, i jeżeli on sam lub ktokolwiek myślał o jego przyszłości, przypuszczał, że będzie to kiedyś znakomity—matematyk. Z największem też odznaczeniem za postępy w tej nauce ukończył gimnazyum i wstąpił na wydział matematyczny w Szkole Głównej. Od tej chwili przechodzi on drogę zygzakowatą, coraz bardziej odsuwając się od kierunku, który mu wskazywano i który sam dla swych zdolności wykreślił. Po dwu latach porzuca studya uniwersyteckie i bez planu chwyta się dorażnych zarobków (pracuje u fotografa, daje lekcye itd.), które szybko zmienia, a wreszcie wpada w jakąś apatyę i chorobę woli. Koledzy wyciągają go z tego stanu i... nakłaniają do zajęć literackich. Uwierzyć trudno, że dokonywają tego z wielkim wysiłkiem namowy. Głowacki czuł pociąg do pióra, ale bronił się pokusie. Wreszcie zaczyna pisać... ciężko rodzone, bezkrwiste artykuły społeczno-pedagogiczne do *Opiekuna domowego*. Były to krople zdrowego rozsądku, rozpuszczone w zwyczajnej frazeologii. Beletrystykę o-mija, tryskający coraz żywiej humor rozlewa jedynie w stosunkach prywatnych, poświęcając mu na ofiarę również własne artykuły. W owym czasie *Przegląd tygodniowy* był jedynym obozem młodych zapaśników literackich, walczących pod sztandarem postępu. Do tego obozu przyczepił się luźnie Głowacki, bardziej jako ciekawy gość, niż jako bojownik. Bywał na naradach redakcyjnych, ale czynnego udziału w piśmie nie brał. Raziła go w niem zbyt czerwona chorągiew, zbyt zaczepna taktyka. Natomiast gdy z *Przeglądu* wyłoniły się dwie kolonie— *Opiekun domowy* (Chmielowski, Ochorowicz i in.), oraz *Niwa* (Meyet, Ochimowski, Plebiński i in.) — głoszące „postęp umiarkowany“ i po części walczące z *Przeglądem*, Głowacki przyłączył się do nich bądź jako współredaktor, bądź jako współpracownik. Ale zawsze był tylko albo kontrolerem, albo kaznodzieją zdrowego rozsądku, albo tłomaczem „pozytywizmu.“ Cała ta praca, z której czasami drwił, widocznie nie odpowiadała jego naturze i nie zaspakajała jego potrzeb umysłowych, skoro znowu zamienił ją na zajęcie robotnicze przy kowadle w fabryce Lilpopa i Rau, którą opuścił po kilku miesiącach leczniczej dla jego złudzeń próby. Te nic nieobiecujące pierwsze występy literackie, te dziwne przeskoki od roli socyologa do robotnika fabrycznego miały swoją przyczynę w istocie jego talentu i ukształcenia. Zwykle młodość wchodzi do literatury poważną, odzywa się głosem uroczystym, kaznodziejsko-profesorskim. Pragnie ona tą postawą i tym tonem dopełnić swój wiek i nadać sobie dojrzałość. Śmiać się ze świata zaczyna człowiek dopiero wtedy, kiedy nie obawia się zarzutu młokosowstwa i pustoty. Toż samo zrobił Głowacki. Ale ponieważ nie przeszedł systematycznych studyów uniwersyteckich, ponieważ skłonność do matematyki odciągała go od samouctwa w tej dziedzinie, w której mógł zdobyć naukę potrzebną dla dziennikarza, ponieważ skromne zasoby wiedzy nie dawały mu mocnej podstawy dla wystąpień śmiałych, dla krytyki i reformatorstwa w imię nowych zasad, więc stawiał kroki lękliwie, niechętnie, oparty głównie na zdrowym rozsądku. Badacz literatury łatwo przytem zauważyć może, że ów „zdrowy rozsądek,“ angielski *common sense*, jest znamienną przynależytością, duchem doradczym wszystkich znakomitych humorystów. Z tem zwierciadełkiem, odbijającem każdą śmieszność, chodzą oni po świecie, tym probierzem sprawdzają wartość wszelkich myśli i uczuć, na tych szalach ważą każdy owoc życia i pracy. Przed tym trybunałem, który liczy prawie tylu sędziów, ile ludzkość głów, przegrać może sprawę najględsza filozofia i najszczytniejsza poezya. Jeżeli pierwsza przed nim staje z twierdzeniem, że to, co widzimy, jest wytworem naszego ducha, lub druga z opowieścią o Prometeuszu, łatwo będą przekonane, że prawią niedorzeczności. Wszakże nawet ktoś radził uderzyć filozofa kijem dla dowiedzenia mu, że dostał po plecach nie „wytworem własnej myśli.“ Siecią „zdrowego rozsądku“ wyłowić można ze świata daleko więcej głupstw, niż się w nim znajduje, bo ona oprócz rzeczywistych zgarnia i pozorne, których ta ograniczona w swem pojmowaniu władza zrozumieć nie może. Nic też dziwnego, że humorysta tę sieć w toń życia ciągle zapuszcza.

Humorystą urodzonym był niewątpliwie Głowacki, a jeżeli nie odrazu wystąpił w tej roli, to wynikło z właściwego młodości poważnego nastroju przy pierwszem wejściu na arenę publiczną i z nieuznania dla tego rodzaju talentów. Filozof lub poeta znajdują w literaturze przyjęcie zaszczytne, żartowniś — lekceważące. Gdyby mógł roztoczyć całą skalę swych uzdolnień, oceniono by go natychmiast; ale on zwykle w początkach jest śmieszkiem, płytkim i niewybrednym w pomysłach kpinkarzem. Inaczej patrzymy na Thackeraya, Dickensa, I. Pawła Richtera lub Lama, gdy staną się wielkimi komikami na scenie literatury, a inaczej gdy dopiero debiutują w niej koncepty. Wtedy jeszcze nie wiadomo, czy to będą pospolite błazny, czy znakomici satyrycy.

Oto były powody, które Głowackiego długo wstrzymywały zdala od właściwego pola, które wytwarzały w nim niezadowolenie z pracy literackiej i popychały w kilku zawrotach do mechanicznej.

Po raz pierwszy użył on swego talentu właściwie i po raz pierwszy osłonił się pseudonymem, którego dotąd nie zdjął, w *Opiekunie Domowym* (1872), w „Listach ze starego obozu.“ Jakie on miał wówczas mniemanie o najgłówniejszym nerwie swego umysłu, świadczy nietylko ów kaptur, ale także i godło, jakie później umieścił na zbiorku, do którego owe „listy“ włączył: „Dobry humor jest jak oset, który, chętnie wyrasta na zwaliskach, kaleczy dobrze uformowaną gębę a cieszy niewymownie osłów.“ Humor tedy owa błyskawica, która „zabija ofiarę, rozświecając widnokrąg,“ był, według niego, strawą istot poślednich. W tej wszakże pierwocinie Prusa przeważał jeszcze zdrowy rozsądek. Doświadczony wuj, uśmiechając się kątem ust z wad ludzkich, prawi siostrzeńcowi „kazanie“ z takim sensem moralnym: Zawody spotykają nas między innemi dlatego, że nazbyt często się łudzimy. Łudzimy się w pojmowaniu natury szczęścia, w pojmowaniu praw kierujących życiem, a wreszcie w pojmowaniu naszej osobistej wartości. Przyczyną tych złudzeń jest nieznajomość życia codziennego.“ A więc: „wielką ci w tej pracy (badania życia) usługę odda dziennik, systematycznie ułożony i porządnie prowadzony, w którem na właściwem miejscu powinieneś mieć spis twoich ruchomości, stosunków, celów, obowiązków; notatki, dotyczące wydatków bieżących, zobowiązań, przeczytanych książek, pragnień przykrości, przyjemności, a w końcu uwagi nad życiem. Takie rachunki wykonywaj co dzień, odczytuj co tydzień, co miesiąc, wreszcie co rok, nigdy nie spuszczaj z uwagi tego, co się dzieje w tobie i około ciebie, a wówczas przekonasz się (!), że życiem kierują niewzruszone prawa.“ W radzie tej nie widzimy ani włosa filozofa, a natomiast wychyla się z nich cała peruka *Schulmeistra* — nauczyciela zdrowego rozsądku. Tu i owdzie streszczone i za swój świeży blask pochwalone iskry humoru znagliły Prusa do przechylenia się ku bożkowi śmiechu. Pochodzące z owej epoki jego żarty (prozą i wierszem) wyszły osobno we wspomnianym zbiorku p. t. „To i owo, właściwie zaś ani to, ani owo, 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci“ (Warszawa 1874). Tytuł wyborny, bo jest to rzeczywiście „ani to, ani owo“, a jeśli dla pełnoletnich, to tylko dzieci. Prus nazwał go w dedykacyi „kielichem goryczy, nudów, przywidzeń i lichych konceptów.“ Najwięcej w tej mieszaninie jest kropel ostatnich. Warto przeczytać tę książkę dla przekonania się, jak długą nieraz drogę przechodzi w swym rozwoju talent i jak wielka odległość dzieli najniższy jego stopień od najwyższych. Nieraz bowiem zdaje się, że te „powiastki“ pisał Rozbicki. Ktoś obliczając się z cukiernikiem za kawę i ciastka, nie może zrozumieć, że 10 i 15 to stanowi razem 25 kop.; nauczyciel pytając: na czem zależy szczęście człowieka, podpowiada uczniom: na..., a je-

den z nich kończy: naleśnik; to znowu pasterz śpiewa po stracie kochanki:

Próżnom ci wonne kwiecie ofiarował
I na kiermaszu pierścionki kupował
Próżnom cię gonił... Tyś uciekła żytem
Przed Agapitem,

A jednakże obok bezmyślnych konceptów obok badyla zabarwił się czasem w owym zbiorku kwiatek dowcipu, który dla uważnego wzroku świadczył, że z gruntu tego wyrosnąć mogą kiedyś piękne i oryginalne postacie humoru. Podobne znaki dobrej wróżby znaleźć można było w *Kłopotach babuni* (1873), chociaż utwór ten jest także zwitkiem dziecinnych konceptów w starokalendarzowym stylu. Prus bowiem, zaciągnięty wówczas do współpracownictwa w pismach humorystycznych i kalendarzach, nie dostrzegł jeszcze, że może kusić się o lepsze wieńce, niż wawrzyn Rejowskich figlików.

Widocznym postępem zarówno w technice, jak i wyborze przedmiotu była powiastka *Pałac i rudera* (Warszawa 1876). Chociaż ona swą wartością artystyczną nie dorównywa późniejszym, jest to typowy utwór Prusa — pierwsze ogniwo w łańcuchu jego tragikomedyj. Prawie wszystko, co później wyszło z pod jego pióra w zakresie powieściowym, nosiło w sobie pierwiastki *Pałacu i rudery*, prawie zawsze był to: ponury dramat w żartobliwem oświetleniu, niedola przeciwstawiona zbytkowi, marzycielstwo wynalazcze szukające środków do urzeczywistnienia swych pomysłów, szlachetni dobrodzieje zakładający kasy dla biedaków i wyrabiający rozmaite plasterki, które sprawiają ulgę nędzy, ale jej nie goją, frazesowa filantropia, pyszałkowata głupota i t. d., a po nad tym smutno-wesołym obrazem unoszące się dwa duchy zapłakane: litość i zdrowy rozsądek. Jeśli humorysta zechce być poważnym, to zwykle jest poważniejszym, niż mówca pogrzebowy; gdy zechce być dramatycznym, wpada natychmiast w melodramatyczność. Wahadło jego umysłu zatrzymuje się tylko na krańcach przeciwległych, nigdy w środku. Przyzwyczajony do przesady w jednym kierunku, nie może jej ustrzedz się w drugim. Wszystkie też powieści Prusa z cyklu tragikomedyj obok rzęsistych wytrysków śmiechu toczą strumienie krwi i łez łożyskiem melodramatu. W *pałacu*, a raczej zwykłej kamienicy śród ubogich domków, mieszka jej właściciel z wnuczką, Piołunowicz, który pali fajkę z siedmiu cybuchów, ponazywanych według dni tygodnia, pryszniсuje się, przewraca koziołki na gimnastyce pokojowej i jest prezesem „naukowo-filantropijnego towarzystwa.“ Zbiera się ono u niego dla kolacyi i obrad nad pauperyzmem. *Ruderę*, naprzeciwko pałacu, zajmuje z wygłodzoną i schorzałą rodziną biedak Hoff, który pracuje nad maszyną, mającą „zastąpić lokomotywy, młyny i wszystko.“ Kiedyś był zamożnym. Razu pewnego podczas uczty chrzcin wszedł do niego nędzarz z siostrą i jej synem, prosząc o przytułek i jałmużnę: wyrzucono żebraków. Kobieta umarła, a jej brat, zostawszy później lichwiarzem, wytężył wszystkie siły dla zebrania najwięcej siostrzeńcowi i pomszczenia się na okrutnym Hoffie. Jakoż zrujnował go i wydziedziczył nawet z rudery. Wnuczkę Piołunowicza pokochał świeżo przybyły z zagranicy malarz Gustaw Wolski, który przyjmując udział w obradach „towarzystwa naukowo-filantropijnego,“ słowem i przykładem nakłania deklamatorów do miłosierdzia czynnego. Dzięki kochającemu go wujowi, bogatemu finansiście, może sam ofiarować wiele. Zebrawszy naprzód składkę dla Hoffa, udaje się z członkami towarzystwa do *rudery*, gdzie zastaje lichwiarza, który już ją nabył za kwitki i w którym poznaje swego wuja, zamaskowanego niebieskiemi okularami. Podczas gdy inni odeszli, on ukrył się w sieni. Lichwiarz, broniąc się od napaści zięcia Hoffa, kryminalisty, który chciał mu odebrać przyniesione pieniądze, strzelił i zabił Gustawa.

Ten osłonięty tajemniczością dwuosobowy lichwiarz, przebywający w dwu mieszkaniach pod dwoma nazwiskami, te niebieskie okulary, ta jego długoletnia i nienasycona zemsta, akt wywłaszczenia spisywany wobec opryszków, śród piorunów burzy i śmierci dwu istot, te zwłoki biednej Heluni (wnuczki Hoffa), „złożone (w mieszkaniu Piołunowicza) na memoryale o pauperyzmie i przykryte protokółami posiedzeń towarzystwa filantropijnego“—wszystko to są środki artystyczne starego melodramatu. Natomiast szczery i oryginalny humor mieni się w charakterystyce gadających filantropów, którzy kłócą się o błahe szczegóły formalistyki wtedy, kiedy nędza kąsa i zagryza swoje ofiary. Widmo jej, przesuwające się śród tego sytego grona, chociaż nieraz zbyt sztucznie wprowadzone, odbija wybornie na swym cieniu śmieszność filantropii, która karmi głodnych pustemi słowami.

(D. c. n.).

## ROMUALD HUBE.

Zakończył życie pracowite i owocne, gdyż 87 jego lat nie zmarnował i w nauce trwałe ślady swej działalności zostawił. Kształcił się w szkole pijarów, następnie w uniwersytecie warszawskim (1823), a wreszcie w berlińskim. Wróciwszy do Warszawy jako 23-letni młodzieniec, rozpoczął w uniwersytecie wykład prawa karnego. W r. 1832 zostaje prokuraterem sądu kryminalnego, w 1834 członkiem komisyi prawodawczej dla Królestwa Polskiego, a w końcu jej prezesem. Od r. 1843 jednocześnie wykłada na uniwersytecie petersburskim historyę prawodawstwa polskiego, oraz prawo karne i administracyjne. Do tej epoki należy jego misya poselska łącznie z hr. Bludowem do papieża Grzegorza XVI i Piusa IX.

Od r. 1861 piastuje przez jakiś czas godność dyrektora głównego Komisyi sprawiedliwości w Warszawie, później zostaje stałym członkiem Rady stanu Królestwa Polskiego. Na stanowisku senatora i członka Rady państwa zakończył swą karyerę urzędniczą.

Karyera ta nie odciągnęła go od badań naukowych w dziedzinie prawa. Wynik tych badań złożył w długim szeregu dzieł i rozpraw łacińskich, polskich, francuskich, z których ważniejsze wymieniamy: „O teoryach prawa kryminalnego“ (1828), „Uwagi nad systematem kodeksu cywilnego francuskiego“ (1829), „O dawnych pisarzach prawa karnego w Polsce“ (1830), „Antiquissimae constitutiones synodales provinciae Gnesnensis“ (1856), „Przyczynek do objaśniania statutu wiślickiego“ (1853), „Kodeks cywilny włoski“ (1866), „Histoire de la formation de la loi bourguignonne“ (1867); „La loi Salique“ (1867), „O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyńskiego u ludów słowiańskich“ (1868), „Historya praw karnych słowiańskich“ (1870), „Le code civil Italien“ (1872), „O datach nadawanych statutom Kazimierza Wielkiego“ (1871), „Kodeks dyplomatyczny tyniecki“ (1872), „Prawo polskie w wieku XVIII“ (1875), „Statuta nieszawskie“ (1875), „Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV“ (1875) i inne.

Szedł więc ze świata, dobrze mu się zasłużywszy.

## LUDWIK NEUGEBAUER.

Zmarł nagle w Berlinie podczas kongresu lekarskiego. Był to jeden z najcenniejszych medyków naszych. Przebywał początkowo praktykę prowincyonalną, powołany został do Warszawy na profesora anatomii, a później akuszeryi w Akademii medyko-chirurgicznej, z której przeszedł do Szkoły Głównej i uniwersytetu.

Jest on autorem „Anatomii opisowej ciała ludzkiego“ według Hirtla, oraz „Wykładu akuszeryi.“

Liczył lat 69.

# FEJLETON.

## LIBERUM VETO.

Podwyższona temperatura w Towarzystwie wioślarskiem. — Leczenie prysznicem. — Coraz nowe gabinety. — Przestroga dla *peuple souverain*. — Fakt należący do reguły. — Uzupełnienie naszej pedagogiki. — Kartka statystyczna ku uciesze *Petit Journala*. — Jarzymowski. — Męczeństwo zrozumiałe dla tych tylko, którzy je cierpią. — Dwa tematy do obrazków dla pism ilustrowanych: wyratowany z wody nędzarz i koń-tułacz.

Byłoby to dość racyonalnem, ażeby w wielkie skwary zajmować się Towarzystwem wioślarskiem. Bo naprzód jego członkowie, uczęszczając na nadzwyczajne zebrania w przystani, mogłyby przy tej sposobności wykąpali się i posunęli w sztuce pływania, której gwałtem od nich zaczęto wymagać; powtóre może od tej wodnej instytucyi przynajmniej powiałby jakiś orzeźwiający chłód, którego skądinąd doczekać się niepodobna. Tak zapewne mniemano, ale — niestety — przy procesach rozkładu następuje zwykle podwyżka temperatury. A Towarzystwo ulega rozkładowi i znajduje się w gorączce, którą pisma chcą uśmierzyć zimnymi okładami i natryskami. Po obaleniu na nadzwyczajnem zebraniu uchwały, zaostrzającej regulamin wioślarski, komitet w całym składzie podał się do dymisyi i zwołał drugie zgromadzenie dla wybrania nowego zarządu. Tymczasem niektóre pisma sprawiają konfederatom mocny prysznic. *Kuryer codzienny* powiada im: Nie sądź, o *peuple souverain*, niespokojnie wywijający mieczem „powszechnego głosowania,“ że wolno ci lekkomyślnie ścinać głowy ludziom, których obdarzasz swem zaufaniem. Muszą oni bowiem, obok zaszczytów, dźwigać ciężary swych stanowisk, za które należy im się wdzięczność. „Małe ambicye“ nie powinny podkopywać instytucyi, która stać musi na ładzie i karności. „Ta kardynalna wada panuje zbyt silnie i zbyt długo; stąd też pochodzą owe ciągłe zmiany „gabinetów,“ które instytucyi nie wypadają wcale na dobre, a które doprowadzą w końcu do tego wyniku, że nikt odpowiedni nie zechce przyjmować mandatów, narażających ludzi poważnych na zależność od młodzieńczych kaprysów.“ Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, że po za bardzo nielicznymi wyjątkami nie wierzymy w trwałość i prawidłowość rozwoju stowarzyszeń polskich. Co w naturze ludzkiej wytworzyły setki lat, tego nie zniszczą dziesiątki. W całem zaś życiu historycznem byliśmy indywidualistami, niezdolnymi do organizacyi i pracy zbiorowej, działającymi w rozsypce i rozproszeniu. Dwu przypadkiem obok siebie postawionych niemców natychmiast się skleja, dwu zszytych i skutych polaków coprędzej się rozrywa. To też o ile przyklaskujemy wszelkim nowopowstałym stowarzyszeniom, o tyle nie łudzimy się co do ich przyszłości. Dla nas przeto niesnaski w łonie Towarzystwa wioślarskiego nie są żadną niespodzianką, bo należą do reguły. Żaden uorganizowany zbiór ludzi, żadna instytucya, żaden wiec, żaden chór nie może istnieć bez karności, bez szczerego poczucia obowiązku szanowania prawa. My zaś rozumiemy tylko moc opatrzony siłą, ale chętnie łamiemy bezwładny i dobrowolnie przyjęty. Dusza polska wzdryga się na myśl, ażeby ktoś miał mu rozkazywać, jeżeli ten ktoś nie ma prawa

i mocy ukarać go za nieposłuszeństwo. Każdy, wybrawszy sobie zwierzchnika, wkrótce pragnie mu pokazać, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.“ Zamiast tedy rzucać groch na ścianę, który korcami marnujemy w bezskutecznych morałach, daleko pożyteczniej byłoby — nie dla nawrócenia niepoprawnych, ale dla rozjaśnienia natury społeczeństwa — zbadać porównawczo: ile awantur i zmian gabinetów zdarzyło się w niemieckim Yacht-klubie podczas jego długiego żywota, a ile w polskiem Towarzystwie wioślarskiem podczas krótkiego. Z pewnością znacznie już prześcignęliśmy niemców w tym kunszcie.

W chwili, kiedy paryski *Petit Journal* ogłosił, że doszedł do miliona abonentów i 14 milionów franków rocznego dochodu, pouczającą jest notatka statystyczna *Kuryera codziennego* o prasie warszawskiej. Mamy tedy 10 pism codziennych, a 26 tygodniowych i miesięcznych. Byłoby tego dosyć, ale inaczej mówi prenumerata. Otóż zaledwie trzy gazety wysyłały (w lipcu r. b.) przez pocztę warszawską więcej, niż po 3,000 egzemplarzy, niektóre nie dosięgały nawet tysiąca. Tygodniki i miesięczniki (w znacznej części rozchodzące się drogą księgarską) nie wyrażają swych nakładów w wykazach pocztowych, ale i te cyfry są charakterystyczne. Otóż z tej kategoryi zaledwie jedno pismo (*Gazeta świąteczna*) wysyłało więcej, niż 3,000 egzemplarzy, a tylko cztery około 2,000, piętnaście zaś nie przeszło 500. Nadto tygodniki (niezaspakajające zwykle powszedniej ciekawości, lecz mające charakter naukowy) rozchodzą się przeważnie w okolicach kolei południowo-zachodnich, petersbursko-warszawskiej, poleskich, libawo - romeńskiej i moskiewsko-brzeskiej, to znaczy, że dla mieszkańców Królestwa Polskiego są one najmniej potrzebne — o czem wszystkim redakcyom wiadomo oddawna. Według przybliżonego rachunku *Kuryera*, wychodzi u nas w kraju około 120,000 egzemplarzy pism peryodycznych, a przypuszczając, że każde czyta 5 osób, mamy 600,000 czytelników. 120,000 prenumeratorów (nie strącając tych, którzy abonują po kilka pism) i 600,000 czytelników — cóż ty na to *Petit Journalu*? Gdzieżbyś ty pomieścił się u nas ze swoim milionem? „Szóste mocarstwo“ u nas maleńkie, nie wyrównywa wielu gminom zagranicznym. A kurczy się jeszcze z każdym rokiem. Jeżeli tak dalej pójdzie, za 50 lat dziadus opowiadać będzie wnukom pod lipą:

— Ho, ho, robaczki, my mamy piękną przeszłość! Za moich czasów wychodziło trzydzieści kilka pism peryodycznych w samej Warszawie, a niektóre dosięgały tysiąca egzemplarzy. Żadne nie liczyło mniej, niż 200 abonentów — nie tak, jak dzisiaj, co wszystkich obsługują *Kuryerek*, *Obrazek* i *Tłuczek pobożny*.

Takie to będziemy mieli niegdyś piękne wspomnienia historyczne.

Dziwnie przykre wspomnienie pozostawił mi w pamięci świeżo zmarły rzeźbiarz Jarzymowski. Wyobraźcie sobie suchotnika z zapadłymi policzkami, z rozgorączkowanym wzrokiem, w poszarpanem ubraniu i dawno niepranej bieliźnie — na tle pustego pokoju, w którym obok tapczana bez poduszki, derą przykrytego, znajduje się jedno krzesło z wydartem siedzeniem trzcinowem, butelka z osadzoną w niej świecą, kilka rozpoczętych robót i kupka gliny — więcej nic, literalnie nic! Tak mieszkał twórca „Fury żydowskiej,“ która w Warszawie zwróciła na niego uwagę, wielu dzieł terakotowych i (do współki z Kurzawą) projektu na pomnik Mickiewicza. Pisma ilustrowane pokazują nam zbytkowny gabinet Piotra Lottiego lub Edisona; czemu nam nie pokażą „gabinetu“ Jarzymowskiego? Byłby to i obrazek swojski i pouczający, bo wiedzielibyśmy, w jak rozkosznych gniazdach przebywają u nas orlęta Apolina. Jarzymowski mógł nosić w sobie zarodki choroby, ale stanowczo spalił się w ogniu artystycznym, rozdmuchiwanym przez nędzę. Żaden wyrobnik nie żyje w dokuczliwszem i okropniejszem ubóstwie. Był to Łazarz — jedzony przez chorobę i niedostatek. Nieraz gdy mówił, dostrzegałeś w ustach niemoc głodu. I ten człowiek miał lotną fantazyę, marzył o śmiałych kompozycyach! Naiwne dziecię, bawiące się pod gilotyną losu. Trudno żałować takiego męczennika; lepiej że zasnął w ziemi, która jego bóle ukoiła, niż miał cierpieć na torturach z niezaspokojoną nigdy tęsknotą do swych mar uroczych. Życie nie mogło mu dać nic lepszego nad śmierć. Bo artysta biedny, bezsilny w swej sile, pożerany przez własne, nigdy niedoścignione ideały, jest potępieńcem najstraszniejszego z piekieł, w którem żona, dzieci rodzina stają się jego tyranami, a rozżarty wilk, piorun, zabójca — litościwym dobroczyńcą. Wy, ciała obrosłe dostatkiem, a dusze nieoskrzydlone pragnieniem wzlotu w krainę poezyi — nigdy tego nie zrozumiecie, co to znaczy być bezlotkiem.

Tydzień ubiegły dostarczył pismom ilustrowanym kilka przedmiotów daleko lepszych, niż gabinet P. Lottiego. Bo przyznajcie, czy to nie piękny obrazek, którego nikt nie przeniósł na płótno lub papier? Brzegiem Wisły — jak donoszą pisma — szedł jakiś człowiek, z dziewczynką na ręku, który uspokoiwszy płaczące dziecko, rzucił się z nią do wody. Flisacy z tratew pospieszyli mu z pomocą, on jednak stawiał im zacięty opór, wołając, iż chce umrzeć. Nareszcie wyratowano omdlałego wraz z dzieckiem. Jak sprawdzono, nazywa się Aleksander Kozerski. mieszka przy ulicy Długiej pod nr. 23. Straciwszy posadę oficyalisty prywatnego i nie mogąc znaleźć zarobku, postanowił utopić siebie i córkę. Udaremniono ten zamiar i... No i dalej będzie szukał miejsca, aż je znajdzie na dnie Wisły. Chyba los nie może okrutniej pastwić się nad nieszczęśliwym, niż wtedy, gdy mu nie pozwala ani żyć, ani umrzeć.

Śliczniutki temat do obrazka podaje również pismo galicyjskie *Krynica* z przeszłej zimy, kiedy chłop tamtejszy — jak mówią zakopianie — żywił się głodem.

Gospodarz z Jawornika sprzedał Michałowi Jamrozikowi konia, którego nie miał czem karmić, za 9 centów (około 12 groszy). Jamrozik odstąpił go Lejbie Kohenowi za 15 centów, Kohen znowu Jędrzejowi Jamrozikowi za 18, a ten — jakiemuś chłopcu za 20 centów. Chłopiec przypędził zwierzę do domu, ale go matka obiła i kazała oddać konia poprzedniemu właścicielowi. Wrócił więc na jarmark i odnalazł Jędrzeja Jamrozika, który jednakże pozostał głuchym na wszelkie prośby i ustępstwa, a zniecierpliwiony natarczywością chłopca, za drzwi go wyrzucił. Ten puścił się w dalszą pielgrzymkę i zaczął błagać przechodniów, ażeby konia darmo wzięli. Nikt nie chciał go wysłuchać. Płaczącego spotkał żyd Mendel Wassermann i taką dał mu radę:

— Obetnij ogon i grzywę, dostaniesz za nie kilka centów, a konia wyprowadź za miasto i puść.

Chłopiec zrobił to, za włosień otrzymał 10 centów, a konia puścił. Dla ostrzyżonego zwierzęcia nastała niedola. Do północy chodził po mieście, wreszcie stanął przed domem Marka Blaua i głową w okno bić zaczął. Przestraszeni żydzi, sądząc, że szturmuje złodziej, wybiegli z drągami, hakami i łopatami i odpędzili konia, który powlókł się na miasto. Nad ranem spostrzegł on stado koni, prowadzonych do Sieniawy przez Chaima Adlera i Fajwla Wiesenfelda, więc przyłączył się do nich. Żydzi chcieli go odgonić, w końcu zlitowali się nad nim i wraz z innymi przyprowadzili do Sieniawy, gdzie go sprzedano za 25 centów.

Czy to nie prawdziwa tragedya i zarazem nie wymowna winieta dla dziejów nędzy chłopa galicyjskiego? A ręczymy, że gdyby ten biedny koń chciał się był utopić, straż wyratowałaby go.

## NA WIDNOKRĘGU.

Wrażenia ogólne. — Kilka słów rady życzliwej. — Pierwsze echa kwestyonaryusza w sprawie żydów. — Nasze próchno rodzinne. — Usuwanie szczątków przeszłości, czyli serwitutów w Lubelskiem.

Prowincya zamknięta w wąskim widnokręgu prasy swojej, zwłaszcza w miesiącach gorących, odsłania tylko rąbek swojego oblicza. Kronikarz jej życia, używający za jedyną powiadomczynię spraw społecznych w tej dziedzinie — bibułę drukowaną: znajduje się w położeniu widza, któryby przez dziurkę od klucza chciał ogarnąć szerokie przestwory. Spoglądam tą szczeliną i nie dostrzegam nic, prócz podpalaczów, zbójów, włóczęgów i ludzi bez legitymacyj, dzień i noc długim szeregiem transportowanych po kraju do miejsc urodzenia, — a przytem, słyszę bezsilne a nieustanne kwilenia rolników na kaprysy natury, daremnie oczekującej na ujarzmienie i celowe nagięcie swych sił. W niesforny chór skarg tych dzieci-starców czasem się wplecie modlitwa dziękczynna za kilka promyków słońca, za kilka kropel deszczu, za grad, który przeszedł stronami, za nieurodzaj, który dotknął kraje ościenne, za stanialą siłę roboczą „bandosów“, którzy w czas przyszli z gór, żeby zastąpić miejsca opróżnione po wychodźcach. Prasa prowincyonalna, zwykle usiłująca być wyrazicielką wszechklasowych interesów czyli, jak mniema, służąca „dobru narodowemu,“ stale nachylając się w stronę właściwego punktu ciężkości — w kierunku interesów klasy uprzywilejowanej raz na rok, na pewien czas, bywa wydzierżawianą ziemiaństwu. Wtedy podobną jest do owego mizernego zwierciadełka kucharek wiejskich, zmatowiałego i nadtłuczonego, w którem nigdy nie odbija się twarz całej prowincyi, lecz co najwyżej nos, oko ziemiańskie, poryte zmarszczkami troski powszedniej czoło. Pokrywają się więc szpalty *Gazety radomskiej*, *lubelskiej*, *Kaliszanina* i t. p. korespondencyami, które, rozważane przedmiotowo, wszystkie zmierzają do wspólnego celu: usiłują moralnie i środkami prywatnymi odzwierciedlić stan prywatnej produkcyi rolnej, z wielką i średnią własnością sprzężonej. Choroby roślinne, widoki na ceny, jakość ziarna, namłotność zboża, zjawiska atmosferyczne — oto treść wszystkich tych doniesień, zakończonych zwykle wieścią o wynikłym z podpalenia lub papierosa pożarze, o dokonanym rabunku lub morderstwie, — treść okraszana sensem moralnym. Każdą taką korespondencyą można by śmiało zamienić na inną, bez różnicy czy pochodzi z Łęczycy, Ostrołęki i Lubartowa — i autor nie poznałby się na figlu: wszystkie bowiem to samo w kółko powtarzają. Taka jest nasza domorosła statystyka. Zapisawszy jednak coś na karb „pory ogórkowej“, niesprzyjającej podobno szybszemu i głębszemu biegowi myśli, trzeba się pogodzić z faktem, że jak w każdej porze roku drobne są fale życia naszej prowincyi, tak drobne być muszą jej odbicia.

To, com powiedział, jest wynikiem ogólnego wrażenia z czytania gromadzących się mi pod ręką w odstępach dwóch tygodni — pism, nie zaś skutkiem złego humoru, — i nie jest marnotrawnem ciskaniem słów w przestrzeń. Prasa prowincyonalna nasza położyła już pewne zasługi i ma prawo do uznania, chociaż za samo mówienie tego, o czem warszawska milczy lub czego nie domawia. Musi jednak w imię dalszego rozwoju ująć swoich korespondentów w karby systematu, wymódz na nich, żeby, zaniechawszy dowolności, sfornie i grunto-

wnie, lecz bez gadulstwa, informowali czytelników, a przedewszystkiem, ponieważ prasa prowincyonalna nie wyszła jeszcze niestety z okresu wszechklasowego wyrazicielstwa, to jest, niezróżniczkowała się, jak warszawska, na organy drobnomieszczańskie, szlacheckie, klerykalne i t. p.,— kierownicy jej powinni dołożyć starań, żeby prócz ziemiańsko-kościelnych spraw i inne, niemniej ważne, a bodaj nawet, naszem zdaniem, ważniejsze — znalazły wierne i szerokie odzwierciedlenie. Nie ja jeden i nie poraz pierwszy daję prasie prowincyonalnej podobną radę. Wiem, że uskutecznienie jej będzie bardzo trudne, przynajmniej ze względu na „techniczne“ trudności, nastręczane przez właściwość umysłową współpracowników — korespondentów.

Upoważnia nas do tego przypuszczenia przykład dostarczony przez *Gazetę radomską*. Niedawno p. N. Hirszband w tem piśmie pomieścił przeróbkę znanego kwestyonaryusza w sprawie, zbierania danych statystycznych o położeniu żydów u nas, kwestyonaryusza, jak wiadomo, będącego wynikiem inicyatywy redaktora *Prawdy*. Przeróbka, a raczej uproszczony i udostępniony szereg pytań, był poprzedzony odezwą do czytelników *Gazety* o poparcie podjętego przez *Wisłę* wyświetlenia najciemniejszej u nas stosunkowo kwestyi. Nie omieszkały nadejść odpowiedzi. Jedna z nich szczególnie jest charakterystyczną. Autor donosi o dwóch „żydkach“ znanych mu. Pierwszy z nich jest pachciarzem i pożytecznym członkiem społeczeństwa ponieważ oddaje podwójne usługi: wytwórcy mleka, kupując je od niego i mieszkańcom pobliskiego miasteczka, dostarczając im tego artykułu spożywczego. Drugi jest krawcem i mieszka w wynajętej od chłopa chałupie. Prócz krawiectwa, trudni się handlem. Obu uważa autor za pożytecznych członków społeczeństwa, ale, pyta z miną filuta, jak ma się zachować w obec wymagań kwestyonaryusza, odwagi cywilnej i kodeksu karnego (artykułu o potwarzy), jeśli wie, że ci dwaj żydkowie oprócz pracowitego zajęcia, trudnią się jeszcze zakazanem przez prawo, jeden np. jest „passerem“, co stanowi główny jego dochód, drugi — pokątnym szynkarzem? W niepewności, pyta redakcyę o radę. Naturalnie zalecono mu, żeby się kierował prawną i tylko prawdą, ale niezrozumienie ducha kwestyonaryusza i udawanie, że się wymaga od kogo rehabilitacyi żydów za jakąbądź cenę, choćby drogą zamilczeń,—świadczą, iż autor mało jest rozwinięty społecznie. Sądzimy że podobnych rzeczywistych i udanych nieporozumień będzie więcej po stronie przygodnych „badaczów“, pożądanem jednak byłoby, żeby uprzedzenia rasowe jaknajmniejszą grały tutaj rolę, jeśli już zupełnie nie dadzą się zobojętnić na rzecz prawdy przedmiotowej.

Pod tym względem daje godny naśladowania przykład niejaki p. Rola w *Gazecie lubelskiej*. On nie wahał się stanąć powyżej stronniczości plemiennej i w aryjczykach odkryć takich przymiotów, które zwykle i niepodzielnie mają cechować semitów. Oto jakie nam daje wizerunki szlachciców z nad ujść Wieprza: Umiera w pewnem miasteczku doktór, po którym pozostaje na rzecz wdowy kilka tysięcy kapitału, pomieszczonego na *pierwszym* numerze hypoteki po Towarzystwie u jednego z ziemian. Zjeżdżają się na pogrzeb licznie ziemianie, a w ich liczbie i dłużnik. Jeszcze trup leżał na marach, gdy ten jął utyskiwać przed obecnymi: — „Panowie poniesiesz moralną stratę, a ja i materyalną.“ — „Jakto?“ — pytają. — „A tak, bo suma wdowy na moim majątku po Towarzystwie. Biorę odnowioną pożyczkę, któż dziś obniży mi sumę nieboszczyka? — „Alež wszystko zapisał wdowie — powiadają mu — to może obniżyć.“ Ucieszony radą, zwraca się do rejenta i pyta, czy pełnomocnictwo do obniżenia może być spisane. Przekłada rzecz kobiecie nieprzytomnej z boleści, ta oświadcza, że nic nie ma przeciw obniżeniu i może dać plenipotencyę wieloletniemu przyjacielowi nieboszczyka. Pełnomocnictwo przygotowane na poczekaniu podpisuje wdowa, pełnomocnik zniża sumę, przenosząc ją z numeru 2 na 12. W kilka lat Towarzystwo wystawia majątek na sprzedaż, wdowa spada z całym swoim kapitałem, stanowiącym całe jej utrzymanie i idzie na łaskę rodziny. Zdolność posługiwania się matactwami prawa cywilnego jest więc dostępną nietylko jednej rasie...

A teraz inny przykład.

Na jarmarku spotykają się dwaj sąsiedzi rolnicy. Jeden z nich kupuje konie, dobija targu i zwraca się do sąsiada o pożyczenie 100 rs., które przyrzeka zwrócić owsem. Ma go dużo jeszcze — setki korcy. Naiwny sąsiad daje żądaną kwotę, ale owsa nie ogląda i na listy nie otrzymuje odpowiedzi. W kilka miesięcy spotyka się znów z sąsiadem. „A mój owies?“ — pyta. — „Wstydź się sąsiad! — odpowiada — masz dwoje, a ja jedenaścioro dzieci!“ To było pokwitowanie z uprzednio wyłudzonej pożyczki, czyli — jałmużny...

Albo znowu: Do p. X. zjechał sekwestrator. Udaje się więc p. X. do sąsiada i wynurza swoją troskę. „Podobno sąsiadowi siana zabraknie — zagaduje. Kup ode mnie. Sprzedam ze dwa stogi; siano wyborne, owcze, dla jagniąt — prawie herbata.“ Sąsiad daje pieniądze. Gdy po niejakim czasie posłał po siano, zastał gnój, niezdatny do innego użytku, tylko na podściół. Jedzie więc z pretensyą do sąsiada — na progu jest najserdeczniej przyjęty. „A co, sąsiedzie, nie ładne siano? — pyta gospodarz — wprost herbata!“ — „Ależ zgniłe!“ — „Co?! — jak sąsiad śmie podobne rzeczy mówić, przyczerniałe — no! prawda, ale podczas sprzętu były deszcze, nie można było zebrać lepiej.“ — „Ależ ja go nie wezmę, bo nie do użycia.“ — „Ha, to sąsiad czekaj, może zbiorę z pogodą wroku przyszłym.“—„Ależ mnie obecnie jest potrzeba!“ — „Cóż zrobię, innego dać nie mogę — i tak mi owce padają.“ Chcielibyśmy wiedzieć, czy te okazy wiernie odmalował p. Rola, a jeśli tak, to gorąco mu polecamy dalej się zapuszczać z latarką w głąb warstwy uprzywilejowanej. Pożądanem byłoby wiedzieć, jak dalece byli „naturalni przedstawiciele narodu“— spróchnieli i ile jeszcze potrzebują znieść pchnięć, żeby ustąpić miejsca kierownikom produkcyi rolnej z mniej delikatnej gliny— naszym „ciarachom.“

Własność chłopska weszła u nas już nieodwołalnie na drogę indywidualizacyi. Ostatnie jej cieniowanie w lubelskiem wykonywa astrolabium geometry. Jest to wypróowanie starych szczątków komunalnych z dzisiejszej własności gruntowej u nas, która z natury swej nie może już dalej ich znosić. Serwituty leśne i pastwiskowe, jako ograniczenia krępujące prawidłowy bieg gospodarki prywatnej — muszą ustąpić ścisłym rozgraniczeniom, zasadzie indywidualizmu: „tu moje, a tam twoje.“ Po uformowaniu tabel likwidacyjnych na podstawie Ukazu z r. 1864 i rozpatrzeniu w dalszym ciągu przez urzędy do spraw włościańskich, uroszczeń, dotyczących służebności, okazało się w gub. lubelskiej osad włościańskich, mających prawo do serwitutów na gruntach dworskich, donacyjnych i instytutowych 56,284, w tej liczbie przypadało 2,846 wyłącznie pastwiskowych, 5,606 wyłącznie leśnych, oraz 47,832 pastwiskowych i leśnych. Przeciętnie na każdy powiat przypadało do uregulowania po 5,628 serwitutów w osadach. Do końca roku ubiegłego, czyli w ciągu lat 25, zamieniono i zatwierdzono układy o zmianę serwitutów dla 26,308 osad, czyli szczegółowo w powiatach: biłgorajskim 332; chełmskim 2,624, hrubieszowskim 2,749, janowskim 2,235, krasnostawskim 1,020, lubartowskim 3,588, lubelskim 2,891, nowoaleksandryjskim (puławskim) 4;593, tomaszowskim 4,293, zamojskim 1,983; ogółem 26,308, czyli w stosunku do ogólnej ilości osad, korzystających ze służebności, uregulowano dotąd w powiatach: lubartowskim 76%, nowoaleksandryjskim 74%, lubelskim 69%, tomaszowskim 66%, hrubieszowskim 56%, chełmskim 48%, janowskim 37%, zamojskim 28%, krasnostawskim 23%, biłgorajskim 5%. Największa więc ilość serwitutów, do uregulowania pozostałych, znajduje się w powiatach zajętych przez urdynacyę Zamojskich. Wynika to stąd, że dążono tam przodewszystkiem do ściślejszego ograniczenia praw serwitutowych na podstawie tabel likwidacyjnych i dodatkowych rozporządzeń — utrzymuje *Kuryer codz.* — i że układy z włościanami stawały się trudniejsze wobec wysokich żądań z ich strony, szczególnie co do służebności leśnych. Właściciele dóbr, obciążonych serwitutami, stale doprowadzają gospodarstwa leśne do regulacyi i co rok urzędom włościańskim przedstawiają do zatwierdzenia plany regulacyjne z podziału lasów na poręby. Prócz tego władze włościańskie za pomocą własnych geometrów dokonywają corocznie pomiaru pewnej części gruntów chłopskich, odgraniczają je i wygotowują plany doręczane stronom. W ten sposób wymierzono już 419,403 morgów, a pozostało jeszcze do wymierzenia 748,658, czyli prawie dwa razy tyle.

*Z. Atanazy.*

## KRONIKA.

**W sprawie hypnotyzmu** *Praw. Wiestn.* zamieszcza okólnik departamentu medycznego do gubernatorów. Rozporządzenie to nastąpiło na wniosek nowgorodzkiego towarzystwa lekarskiego, przedstawiony ministeryum spraw wewnętrznych za pośrednictwem gubernatora nowgorodzkiego. Motywy są następujące: 1) że publiczne przedstawienia hypnotyczne zrządzają znaczną szkodę zdrowiu, tak osób hypnotyzowanych, jak i widzów, przyczem u hypnotyzowanych rozwijają się rozmaite choroby histeryczne, nerwowe, a nawet i umysłowe, przechodzące niekiedy w prawdziwą manię hypnotyczną; 2) że publiczne widowiska hypnotyczne dają złoczyńcom możność nauczenia się sposobów hypnotyzowania i stosowania ich następnie dla osiągnięcia celów niemoralnych lub występnych; 3) że wogóle przedstawienia hypnotyczne, bez odpowiednich objaśnień racyonalnych, mogą usposabiać publiczność do fałszywych pojęć, a nawet wzmacniać zabobony; hypnotyczne zaś wmawiania mogą być przyczyną naruszenia przez osoby zahypnotyzowane porządku publicznego i spokoju, a nawet spełnienia działań przestępnych. W uwzględnieniu tych motywów, departament medyczny zabronił wszelkich publicznych przedstawień hypnotyzmu i magnetyzmu; — stosowanie zaś hypnotyzmu w celach leczniczych powinno być poprzedzone pozwoleniem władzy administracyjnej, danem jedynie tylko lekarzowi, który obowiązany jest zastosować się do § 115 ustawy lekarskiej. dotyczącego operacyj, to jest działać w asystencyi dwu lekarzy.

**Kongres lekarski w Berlinie** zakończył swoje obrady. Był to niewątpliwie jeden z najświetniejszych zjazdów naukowych; ważniejsze jego momenty przedstawimy w numerze następnym.

**Sprawy szkolne.** Fundusze stypendyalne dla młodzieży, kształcącej się we wszystkich zakładach naukowych Królestwa Polskiego, złożone w warszawskim kantorze banku państwa, wynoszą w papierach publicznych procentowych rs. 1,759,352 i w gotowiźnie rs. 247,346, czyli łącznie rs. 2,006,698. Z procentów od tej sumy korzysta przeszło 1,000 niezamożnych studentów i uczniów tak średnich, jako też niższych zakładów naukowych.

— Pytanie, czy studenci mogą przechodzić z jednego fakultetu na drugi, zostało rozstrzygnięte przez ministra oświaty w ten sposób, iż w półroczu wiosennem przejście to w żadnym razie dozwolone być nie może (*Kur. codz.*).

— *Now. wr.* donosi, iż ministeryum oświaty rozesłało do kuratorów okręgów naukowych cyrkularz, wyjaśniający znaczenie 44 artykułu ustawy wojskowej. Nie-

którzy wychowańcy zakładów naukowych po wyjściu z nich przed skończeniem całkowitego kursu bywają powoływani do losowania i z powodu niedostatecznego rozwinięcia fizycznego otrzymują prolongatę do następnego poboru. Potem te same osobistości nanowo wstępują do zakładów naukowych i z tego powodu otrzymują nową prolongatę. Ponieważ takie postępowanie jest nieprawidłowe, przeto pp. kuratorowie nadal baczyć będą, aby osoby, które otrzymały prolongatę z powodu niedostatecznego rozwoju fizycznego, nie były przyjmowane do zakładów naukowych, dopóki nie odbędą powinności wojskowej.

— Ordynatorem chorób skórnych i wenerycznych przy klinice uniwersytetu warszawskiego mianowany został p. Edmund Kurella, lekarz miejscowy.

— Ministeryum oświaty postanowiło wyznaczyć nagrody za najlepsze podręczniki dla szkół przemysłowych. W ciągu 9 lat, począwszy od 1891 r., ministeryum corocznie assygnować będzie na nagrody sumę 7000 rs., z czego utworzone zostaną dwie wielkie nagrody po 2,000 rs. i sześć mniejszych po 500. Jednocześnie ministeryum przeznaczać będzie corocznie 1,000 rs. na koszty złotych medali dla osób, delegowanych do oceny nadsyłanych na konkurs podręczników (?). (*Now. wr.*).

— *Schlesische Zeitung* żąda polepszenia stanu szkolnictwa ludowego na Szląsku Górnym, w celu podtrzymania niemczyzny wśród ludności polskiej.

— W celu ułatwienia finlandczykom nauki języka ruskiego, postanowiono otworzyć bezpłatne kursy tego języka dla nauczycieli finlandzkich szkół ludowych.

— W Mitawie kółko ruskie zebrało t. z. kapitał aksakowski, który postanowiono przeznaczyć na zakładanie w Kurlandyi szkół ruskich.

— Ministeryum oświaty rozesłało do kuratorów okręgów naukowych okólnik, zwracający uwagę: aby dyrektorowie i inspektorowie gimnazyów i progimnazyów oraz szkół realnych nietylko nie brali na siebie 12 lekcyj tygodniowo, przepisanych ustawą, jako *maximum*, ale wedle możności starali się zajmować sobie jak najmniej czasu wykładami; unikać rozdziału lekcyj, niezajętych skutkiem wyjścia nauczyciela, pomiędzy nauczycieli pozostałych, a to w celu nieobarczania ich, ze szkodą ich własnych, stałych wykładów.

**Muzyka.** Wydawnicza firma Augenera w Londynie wydaje cały szereg utworów Zygmunta Noskowskiego. Wkrótce ukaże się 31 jego dzieło, zawierające nową seryę krakowiaków na fortepian.

**Sprawy kolejowe.** *Birż. wied.* zapewniają, że na wszystkich kolejach ustanowione zostaną wkrótce stacye do oceniania produktów i materyałów, dostarczanych przez przedsiębiorców na potrzeby kolejowe,

**Wyrok** pierwszej instancyi, wydany na terorystów ruskich w Paryżu, sąd apelacyjny paryski zatwierdził.

**Pożary.** Miasto Brzostek w Galicyi uległo pożarowi. — Węgierskie miasto Moor, w pobliżu Stuhlweissenburga, padło pastwą ognia. Przeszło 150 domów leży w gruzach. Wielkie ofiary w ludziach.

**Burze.** Z Czech, Szląska i Moraw dochodzą wieści o straszliwych klęskach elementarnych: obrywaniu się chmur, burzach.

**Przemysł.** Walcownia udziałowa „Koszyki," jak donosi *Gazeta losowań*, zamknęła rok ubiegły stratą 23,006 rub. 53 kop. Straty w latach poprzednich wynoszą 134,030 rs.

— Na terytoryum chińskiem w Majmaczynie p. Stanisław Keller z Warszawy założył kantor komisowohandlowy do pośredniczenia pomiędzy kupcami europejskimi a chińskimi.

**Ustawa** warszawskiego towarzystwa jedwabniczego, zatwierdzona 10 grudnia r. b., wyszła w oddzielnej odbitce.

**Prasa.** Sprzedaż pojedyńczych numerów gazety *Minuta* została wzbroniona przez ministra spraw wewnętrznych.

**Wypadki.** Wybuch gazów w kopalniach węgla kamiennego w Saint-Etienne, we Francyi, który nastąpił 29 z. m., był straszną w swych skutkach katastrofą. Ofiarą jej padło stu kilkunastu górników, około stu poniosło ciężkie rany. Izba uchwaliła 200,000 franków na wsparcia dla rodzin, dotkniętych klęską.

— W Gelsenkirchen wybuch gazu zabił dziesięciu górników.

**W Liège** ma się odbyć 24 sierpnia kongres międzynarodowy komisarzy policyjnych. Jeśli to nie kaczka, to zapewne osią narad będzie technika policyjna... Może z czasem usłyszymy jeszcze o międzynarodowym zjeździe „Lock-Spitzlów„ pod przewodnictwem jakiego Wohlgemutha.

**Cholera** wybucha na różnych punktach starego świata. W Hiszpanii pojawiła się już w prowincyi Toledo. Na granicę Portugalii chronią się od niej dezynfekcyą i i kwarantanną. W dniu 1 b. m. ukazała się w Dżeddzie, w Turcyi azyatyckiej. Notowano do stu wypadków dziennie. Rozbiegła się nawet była pogłoska o pojawieniu się jej w koszarach berlińskich, lecz najzupełniej fałszywa.

**Zmarli.** Mazuranicz, jeden z najpopularniejszych poetów kroackich,

— Edward Bauernfeld, dramaturg niemiecki. Urodził się w r. 1802 w Wiedniu.

— Ludwika Ackermann, znana poetka francuska.

## HUMOR.

**Współzawodnik Pasteura.** Wielce klerykalna antwerpska rada prowincyonalna obradowała niedawno nad wnioskiem wyznaczenia 500 fr. gminom wiejskim na koszta wysyłki do Pasteura osób pokąsanych przez psy wściekłe. Deputowany Smolderen oświadczył, że on wtedy tylko będzie głosował za tą sumą, jeżeli połowa jej przyznaną będzie św. Hubertowi, który już od 1100 lat leczy pokąsanych przez psy wściekłe. Liberalni wyśmiali to żądanie, które jednak poddano głosowaniu imiennemu. Ponieważ wszyscy ultramontanie, oprócz dr. Depretera, połączyli się ze Smolderem, znaczną przeto większością uchwalono: „500 fr. dla instytutu Pasteura i 500 dla św. Huberta." Działo się to wyraźnie dnia 15 lipca 1890 r.

**Oddalenie gwiazd.** Niema między gwiazdami stałemi (prócz słońca) żadnej, któraby w mniejszem oddaleniu od nas była niż 4,000 miliardów mil, przeciwnie bardzo wiele z nich jest dziesięć, a nawet sto razy odleglejszych. Według ostatnich badań, najbliższą jest gwiazda *a* w konstellacyi Centaura na południowej półkuli nieba. Przypuśćmy, że łączyłaby z nią ziemię naszą droga żelaźna, i że dla ułatwienia kommunikacyi zniżonoby taryffę jazdy do $\frac{1}{2}$ feniga za kilometr. Chce z tego korzystać podróżny i przychodzi do kasy, aby kupić bilet. Jakież będzie jego zdziwienie, gdy dowie się, że cena jazdy wynosi 22 miliardy marek! Jako przezorny człowiek zasięga jeszcze niektórych praktycznych wskazówek.—„Z jaką chyżością porusza się pociąg?" „96 kilometrów na godzinę razem z przestankami." — „A kiedy pociąg zajedzie na miejsce?"—"Za 48,663,000 lat." (*Gaz. warsz.*).

**Myśli kosza do papierów.** Pod tym tytułem P. Rosegger rzucił (w *Heimgarten*) kilka trafnych uwag:

Dobry dowcip nie ma włosów, za które możnaby go naciągać. — W literaturze są również talenty, którym za muzykę ich katarynki coś się daje, ażeby dalej poszli. — Humorysta jest to taki człowiek, który co najmniej posiada 12 zeszytów *Fligende Blätter* (słynne pismo humorystyczne). Gdy liryk z satyrykiem spotkają piękną kobietę, pierwszy patrzy jej w oczy, drugi — na turniurę. — Natchnieniem wielu dzisiejszych poetów nazywa się honorarium. — Ostre pióro jest często grzecznem wyrażeniem zamiast „dobre nożyczki."

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Panu W. M. w Ryp.* Jeszcze nie wyszło.
*Panu L. W. w Piwcach.* Wysłaliśmy dodatek z numerem; należy nam się kop. 30.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 2 Августа 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.